

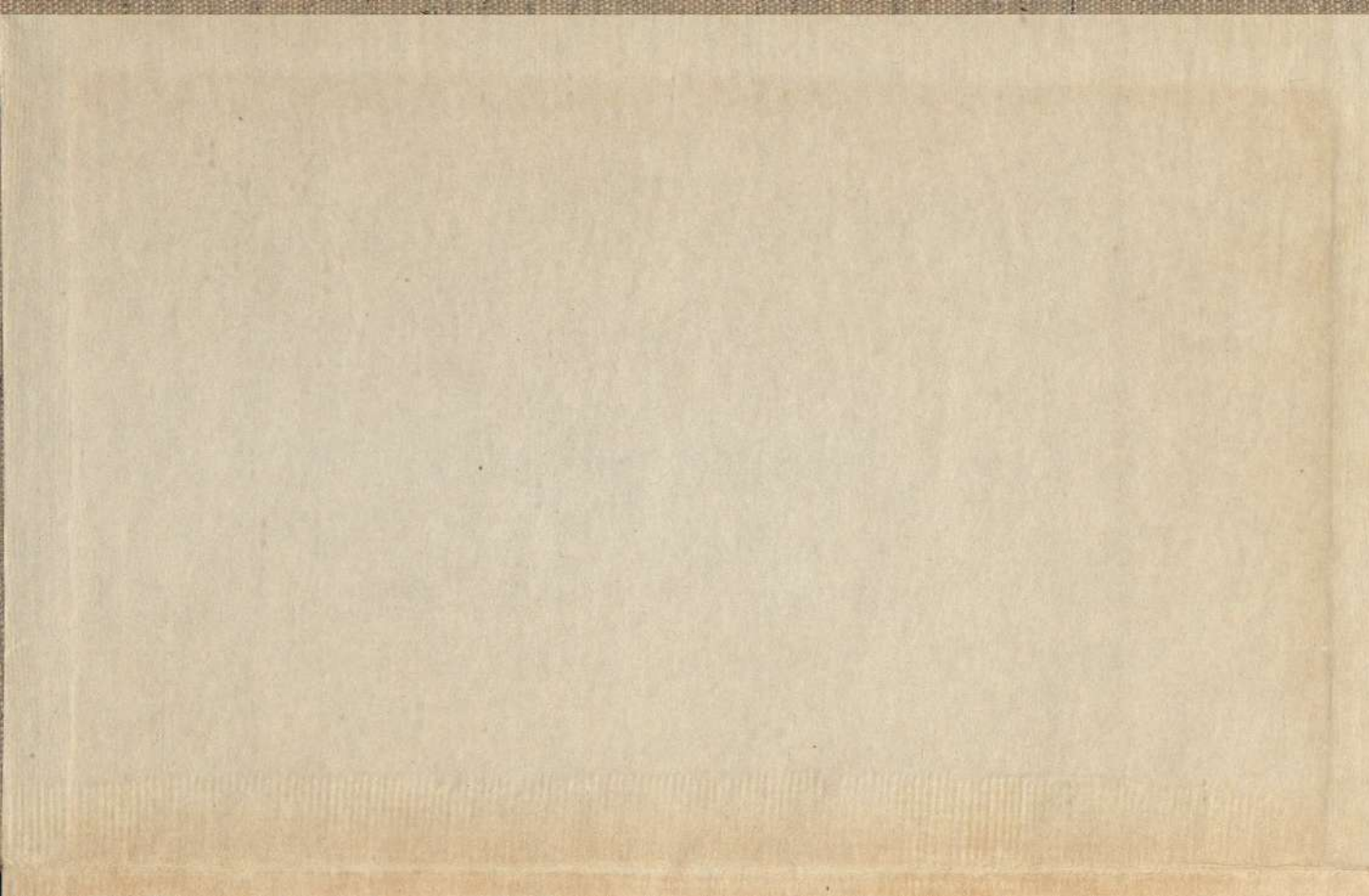


Ewa Szelburg-Zarembina

DZIEŁA

WYDAWNICTWO LUBELSKIE







EWA SZELBURG-ZAREMBINA

DZIEŁA

1.807.609

Ewa Szelburg-Zarembina

DZIEŁA

* 4 *

WYDAWNICTWO LUBELSKIE





EWA SZELBURG-ZAREMBINA

DZIEŁA

* TOM CZWARTY *

STANISŁAW

WYDAWSTWO
WYDAWAŁO
PRACY PISARZY
AUTORI



WYDAWSTWO

Ewa Szelburg-Zarembina

D Z I E Ł A

* *tom czwarty* *

DWUNASTOTOMOWA EDYCJA
WYDANA Z OKAZJI 50-LECIA
PRACY PISARSKIEJ
AUTORKI



WYDAWNICTWO LUBELSKIE

Ewa Szelburg-Zarembina

D Z I E Ł A

ECCE HOMO

*

SYGNAŁY

*

MATKA I SYN

*

SAMOTNOŚĆ



WYDAWNICTWO LUBELSKIE

SAMOTNOŚĆ

2AMOTNOC

....*Liściom, które spadają
z drzew, gdy dzień bezwietrzny
i — słońce.*

ORATA

Napisał, żeby do niego przyjechała. Mój boże, czekała na list. Czekala. A teraz — jakże będzie? On nie przyjedzie. Czeki tam na nią. To ona ma wyjechać. Do niego. Stąd.

Poszła z tym do sąsiadek.

Ileż ich miała, jedną? dwie? Dotychczas dwie. Teraz jest ich dwadzieścia. Gdyby nie zabrakło czasu na żegnanie, byłoby jeszcze drugie tyle. Mój Boże.

To daleka droga.

„Ziemia jest kulista” — uczono w szkółce, gdy była jeszcze dzieckiem. „Kula spłaszczona przy obu biegunach” — poprawiano w szkole, gdy on był dzieckiem. „Punktem startu” — mówią obecnie. Startu w kosmos.

Przysłał w liście bilety. „Nie spóźnić, nie pomylić, nie brać bagaży — tyle, co będzie potrzebne w drodze”.

Przyjechała. Czekal. Nie poznała go. Ale on ją poznał. Mój Boże! Mieszkanie było. Wszystko inne także.

— Rozgość się. Masz dom — powiedział serdecznie. Sam śpieszył się bardzo. Nie mógł z nią zostać. Często nie będzie mógł zostawać: ma ten rodzaj zajęcia, które wymaga wyjazdów i dłuższej nieobecności.

— Nie będzie ci się nudziło. To wielkie miasto. Dużo udogodnień. Pomyślano o człowieku! W mieszkaniu masz, co potrzeba: jest telewizor, jest pralka, elektro-luks, lodówka. Lodówka pełna puszek z konserwami.

Świeże mleko przynoszą co dzień rano i stawiają z butelką pod drzwiami, nie dzwoniąc. Kultura. Resztę, co zechcesz, możesz zamówić telefonicznie. Kamienica spokojna. Lokatorzy solidni. Pa!

Odpowiedziała: — Bądź zdrow! — i dodała z pośpiechem: — Bóg prowadź, synku! Do widzenia! Wracaj! — O pięć słów za dużo, bo już drzwi zamknął po „bądź zdrow”.

Nie szkodzi. Należą do siebie, jak palce u dłoni. Odpoczywała:

po trudzie powziętej decyzji,
po zmęczeniu drogą,
po radości powitania,
po smutku nowego rozstania

(tym razem na krótko! na krótko!)

Czas mijał.

Że nie umiała trwać długo w beczynności, wynalazła dziesiątek drobnych zajęć domowych, jak to kobiety samotne. I tylko czasami ruchem przyzwyczajenia sięgała do kieszonki w fartuchu: dotykała brunatnej flaszeczki z etykietką małomiasteczkowej apteki.

W jej sercu gadał od czasu do czasu niespokojny, obcy głos, który się domagał coraz natrętniej niemożliwej odpowiedzi. Ale wtedy wydobywała szybko nieodstępną flaszeczkę, odliczała, trochę drżąc, kilkanaście kropel do szklaneczki i śpiesznie łykała.

Tymczasem on wracał. Wracał i znów odjeżdżał. I znów wracał. Więc właściwie, mój Boże, byli razem.

Do śródmieścia kawał drogi. Komunikacja kosztowna. A żadnej koniecznej potrzeby. Prawda — w śródmieściu wielkie magazyny, wielkie neony, wielkie plakaty, wielki ruch automobilowy, wielki szum, wielki gwar... Wielki, w wielkim strachu zabijany smutek... Wielka, nie dająca się zabić — pustka.

Zostawała więc w domu na peryferiach. Dom spokojny, zamieszkały przez solidnych lokatorów.

Telewizor działa sprawnie. Kuchnia zaopatrzona we wszystko potrzebne. Świeże mleko w butelce stawiają pod drzwiami z rana, do drzwi nie dzwoniąc.

Odpocząwszy — wypoczywała dalej. Mój Boże, miała spokój. Niczego nie planowała. Nareszcie! Żadnej podróży, listów, czekania, nic.

Dzień jak co dzień. Właśnie. Ale takiego jednego dnia odezwał się dzwonek u drzwi.

Zdziwiła się. Otworzyła. I — nie przestała się dziwić: stary mężczyzna usiłował zapytać ją o coś w tutejszym języku. W tutejszym, choć jakoś odmiennym. Ona usiłowała go zrozumieć i z kolei próbowała mu odpowiedzieć zrozumiale. Próżno. I nie byliby się dogadali, żeby z trzcinowej koszałki nie wypadła na kamienny pawiment orata, srebrna, złotem cienko prażkowana.

Od razu wszystko stało się zrozumiałe: rybak nocą łowi, rankiem dostarcza ryby z połowu znajomym gospodyniom w mieście. Tym razem pomylił piętra.

— Może jednak obca signora weźmie? *Fresca, freschissima!*

Zapłaciła i wzięła rybę pachnącą ostro solą morską, jodem. Stary odszedł klaskając nasiąkłymi wodą gumowymi buciorami. Nie chcąc brać lustrzanej windy schodził w dół kamiennymi schodami, zostawiając za sobą okrągłe ślady. Ślady te nie bladły, nie znikały. Przeciwnie: rozszerzały się i ciemniały.

Cofnęła się w głąb mieszkania zatrzaszkując drzwi wejściowe.

*

Złocista orata była lodowato zimna, ale elastyczne ciało zdawało się tać życie. Niebieskozłote oko, ani zakłęśle, ani zmętniałe, błyskało wypukle w słonecz-

nym świetle. W słonecznym świetle wpadającym przez okna. Przez okna wychodzące na błękit nieba bez chmur. Nieba rozciągającego się dokoła punktu startu, dokoła kuli o spłaszczonych biegunach... tej podzielonej na dwie półkule, z których tylko jedna obciążona jest małym miasteczkiem... miasteczkiem, w którym to miasteczku apteka... w aptece... w ap... ap...

Nie mogła, mimo wielu skomplikowanych usiłowań nie mogła sięgnąć do kieszonki po flaszeczkę, z kroplami, trzymając śliską oratę. Należało oczywiście położyć gdzieś tę rybę, która zapewne była jeszcze żywa.

*

Kiedyś, kiedy to? ryby wigilijne, karpie — wpuszczano się w łazience do wanny z wodą.

Poszła do łazienki, żeby to zrobić. Z odkręconego kranu woda leci chlaszcząc i pluszcząc. Wpada do spustu w wannie, spływa rurą w kanał... kanałem — do rzeki... rzeką — do morza.

Do morza, mój Boże.

Puściła z rąk oratę. Ryba ześliznęła się bokiem po gładkiej zielonej majolice, utknęła w wirującym prądzie wody na dnie nad metalową kratką spustu w wannie.

*

Kobieta, przemagając bolesną sztywność kolan, klękła na posadzce obok wanny. Przemagając bolesną sztywność grzbietu pochyliła się nad rybą w wannie. Dlaczego ryba nie spłynęła z prądem? dlaczego nie do rzeki? w morze?

Ręce kobiety w napięciu, ostrożnie, uparcie kierują bezwolnym ciałem oraty do spustu, do spustu. Ręce kratki nie widzą — czują ruch wody odpływającej, uciekającej. Lodowacieją, zimnem śmierci jak łuską porośłe, nagle ręce te. Trzymają jeszcze, jeszcze popychają, ponagłają coraz silniej — rybę zamierającą? czy odporne dotąd, które nareszcie drżeć i boleć przestało, stare serce? A woda chlaszcze i pluszcze. Chlaszcze i pluszcze.

Na piątym piętrze w łazience woda przestaje hałasować. Nad piątym piętrem po tarasie przesunęły się ciężkie męskie kroki — portier, stwierdziwszy mimochodem wysokość słupka wody w zegarze zbiornikowym wspólnym dla wszystkich lokatorów domu, wobec przekroczenia dopuszczalnej dziennej normy, zamknął dopływ na resztę dnia. Kto potrzebuje do kuchennego użytku, pobierze wodę z cysterny na dachu.

*

Minęło południe, popołudnie. Nadszedł i przeminął wieczór. Zbliżyła się i utrwalila noc. W bramie spotyka portiera paru lokatorów wracających jednocześnie ze spaceru, z kolacji, z sezonowego Koncertu Świąteł i Dźwięków w ruinach starożytnego Forum. Przed progiem windy zamieniają grzecznościowo parę słów: o pogodzie — że zmienna, o wojnie — że trwa zimna wojna, o ladrach — że mnożą się ladri, o cudzoziemskiej lokatorce z piątego piętra, którą — po co mu było? — sprowadził do siebie syn.

— Co prawda — mówi ten z czwartego — co prawda cicha, spokojna ta stara.

Portier Peppino, jak zawsze, ostatnie chce mieć słowo: — Starzy ludzie, gdy szczęśliwi, milczą.

Utrafił tym razem. Jeszcze nie wiedział.

SPOTKANIE

Telefon. Telefonuje do starej kobiety młoda dziewczyna. Już samą zapowiedzią kobieta poczuła się wyrwana z samotności. Gdyż żyła samotnie, chociaż nie w osamotnieniu.

Jak znalazła się w tym akurat miejscu świata? Jak tylu innych: przez przypadek. Dlaczego w nim została? Jak tylu innych: przez bierność. Zresztą i ją czeka jeszcze droga. Wielu krewnych, przyjaciół, bliższych i dalszych znajomych wyprzedziło ją już. To nie ma znaczenia, skoro było konieczne i jest udziałem wszystkich. Gotowa na wszystko, nie wzruszała się niczym. Ceniła mimo to uczucia przyjemne.

Tym razem uczucie przyjemności było podwójne, że to ktoś Stamtąd i — że młody.

Przebywała na obczyźnie, nie przykładając większej uwagi do zmian, jakie powstają na skutek odległości. Także czas, jego wpływy, ważyła lekce. Zdziwiłaby się szczerze, gdyby jej uprzytomniono jedno i drugie w odniesieniu do niej. A właśnie stało się to.

Wskazówki zegara przesuwwały się zrazu tylko odrobinę za szybko — potem — niepokojąco prędko — wreszcie kręciły się, jakby przestały wskazywać jakikolwiek termin.

Nie należało przejmować się zegarem — obecnie mało kto zachowuje nawyk punktualności. Więc kobieta pomyślała tylko, że niepotrzebnie zmieniła zwykłą porę wyjścia na miasto... I w tej chwili dotknięto dzwonka przy drzwiach. Spóźniony gość przybył.

Z płóciennego *ingresso* przeszła dziewczyna do jaśniejszego, przestronnego wnętrza, dokąd ją poprowadziła kobieta: — Rozgość się, proszę.

Pachniało mocno kawą, lekkimi papierosami, rozgrzaną w ostrym słońcu żywicą młodych pinii, rosnących w ciemnej skupinie za oknem. Okno było wprawdzie wedle tubylczego zwyczaju przesłonięte matą z ryżowych włókien, ale wbrew temuż zwyczajowi — otwarte: jaskrawy blask był ściszony, żar prażył z całą siłą. Kobieta i dziewczyna usiadły naprzeciw siebie w dwu wielkich fotelach, przedzielone maleńkim stolikiem.

Pierwsze słowa? Nic łatwiejszego.

— Kawy?

— Ach, kawa! *Espresso*! Uwielbiamy te ich małe kolorowe bary uliczne!

Dziewczyna przyjechała nie sama, podróżuje autostopem z rówieśnikami. W starej kobiecie szybko odtajała dawna bezprzyczynowa ku innym życzliwość. Nie, nie bezprzyczynowa, skoro właśnie za przyczyną tych słów musnęło po sercu wspomnienie zatartych już dróg przez białą zapyłoną Jurę Krakowską, przez puławsko-kazimierzowską Pradolinę Wisły o zieleni najzieleniejszej, przez ciężkie żyznością Żuławy... Nie potrzebowała sobie uświadamiać tego — wystarczyło, że uczuła ciepło w sercu, w żyłach! Czemuż by nie powiedzieć gościowi-dziewczynie:

— Nie tylko kawa tu wspaniała, wiele innych rzeczy was zachwyci.

— Wiem, wiem, co pani ma na myśli — bąknęła dziewczyna, szukając wzrokiem popielniczki! Przysunawszy odnalezioną między drobiazgami z filigranowego srebra i cieniutkiego kryształu, napełnionymi drobiazgiem rozmaitym: palonymi orzeszkami, solonymi migdałkami, cukrzonymi płatkami fiołków — poruszała w roztargnieniu po szklanym dnie szklaną pałeczką, przeznaczoną do tłumienia żaru tłącego się niedopałka. Pałeczka przegarnia drobniutkie fale popiołu w miniaturowej przestrzeni, podczas gdy dziewczyna wydmuchuje razem z dymem słowa lekceważące: — Pani myśli: muzea, wystawy, pamiątki i takie tam „wszystko, co było”.

— Nie, nie tylko. Nowe też jest warte poznania.

— Właśnie! — pośpieszyła uśmiechnąć się dziewczyna. — Właśnie! Te niezliczone sklepy! Sklep na sklepie! Neony! Szaleństwo neonów! Samochody. Powódź samochodów! I kin ile! A te filmy! Jaka swoboda! Jaka śmiałość! I u nas znalazłyby się dziewczyny nie gorsze od tych tu na fotosach! — Wymachiwała w podnieceniu papierosem, a popiół spadał delikatnie przez kręte smużki dymu z wysoka coraz niżej, na wrąb filizanki, na kolano wysunięte spod rąbka sukienki, na szpic pantofelka. — Wielka sztuka nie znosi skrepowania! Wielka sztuka...

Głos dziewczyny jakby z dzwonek na hali i ptasiego w gajach świergotu urobiony, tak miły ku słuchaniu, że stara kobieta chłonie dźwięki bez przysłuchiwania się słowom. Tylko bardzo młode, szczere, niewyrobione jeszcze głosy mają owo szczęśliwe połączenie metalicznego chłodu z ciepłą pieśczołliwością.

Nie głos więc i nie słów treść banalna, odbitka odbitek, sprawiły, że stara kobieta czuje się oszukana.

Gdy otwierała drzwi na dzwonek — otwierała je przed młodością, jaka przychodziła ją odwiedzić. A oto ma przed sobą istotę, której obecności można się tylko domyślać za skorupką lakieru pokrywającego włosy, za warstwą emalii powlekającą paznokcie, za maską płynnego pudru opływającego szyję i policzki, za różem zniekształcającym rysunek i barwę warg, za przyklejonymi do powiek sztucznymi rzęsami, za uśmiechem pożyczonym z ulicznej reklamy, za słowami wyrzucanymi lekko a obficie jak popies-corny w barach automatach... za tym wszystkim, co, razem wzięte, było „nic”, a przecież stanowiło... co stanowiło?

„Młodość — myśli kobieta i jest coraz niespokojniejsza. — Młodość. Czy byłabym aż tak stara, że zapomniałam doszczętnie jak wygląda młodość?”

Usiłuje przypomnieć teraz młodość, młodości postać całą. Ale nie odżywają obrazy żadne. Natomiast otwiera się przestrzeń. Nie ma w niej kształtów ni barw, ni głosów, mimo to nie jest pustką. Wypełniona jest i przepelniona jest — uczuciami. A te są wszystkie jak ciągi rzeźwych, świeżych, coraz silniejszych powiewów! Coraz silniejszych i czystszych! Oddechy życia.

Starej kobiety serce z trudem wstrzymuje ich nawrót: za szczere, za piękne, za prawdziwe. Określić je dziś z osobna, z osobna je dziś ponazywać — to osłabić ich rzeczywiste piękno, jedność ich spospolitować. Może jednak należy tak zrobić przez prostą życzliwość dla dziewczyny? Szuka więc kobieta określeń i nazw komunikatywnych. Przecież, znalezione, odrzuca, skoro zdała sobie sprawę z jedności, a zarazem i powszechności zjawiska, którym była w ówczesnym doznaniu starej dziś kobiety młodość ówczesna.

Zachowując wciąż życzliwe ciepło uśmiechu, jednak onieśmielona, kładzie rękę na ręce dziewczyny. ...O czym że by tu?

— Wspomniałaś o sztuce. Jaki jej rodzaj... to jest... Studiujesz? Co studiujesz?

— Architekturę. Ale teraz mówią, że cybernetyka ma większą przyszłość. Chłopiec, z którym chodzę, namawia mnie na medycynę. Sama nie wiem jeszcze, co zrobię ostatecznie. On jest na ginekologii. Naturalnie nie będzie się zajmował położnictwem. Przeciwnie. To życiowy chłopak. Tylko że ja...

— Że ty?

— Nie wiem, czy go kocham... czy on mnie kocha... Czy tak tylko do czasu chodzimy.

— Chodzicie. — Kobieta starała się, aby głos jej brzmiał naturalnie, dziewczyna jednak spłoszyła się. Ale przemogła się. Uniosła z niejakim trudem czarną zasłonę sztucznych rzęs i gorące, nagłe spojrzenie czystych niebieskich oczu poszukało wzroku kobiety.

— Nie mam pojęcia, co to naprawdę warte.

Z dziecięcą brutalną nieporadnością sformułowała tak ową rzecz, według pojęć starej kobiety nie nadającą się do słownych sformułowań. I mówiła dalej, gwałtowniej już:

— Może zawsze tak było, tylko to i tylko tyle, a inni, wy kłamiecie.

— Czemu, dziewczyno, starzy, mielibyśmy wam, młodym, kłamać?

— Nam? No, nam też, ale sobie, sobie samym przede wszystkim! Kłamiecie. Jasne, że kłamiecie. Bo i wam żal! Bo i wam wstyd! Bo i wy boicie się przyznać. A byliście oszukani! Byliście! Wy także!

Kobieta pociemniała od krwi nabiegłej do czoła pod uderzeniem jasnego, przeraźliwie jasnego spojrzenia dziewczyny.

— O co ci chodzi?

Sztuczne, martwe rzęsy nie drgnęły, to głos zadrgał,

jakby nagle krople, spadające ze źrenic, zmiękczyły twardość jego srebra:

— Ten pierwszy... twój chłopiec, jaki był dla ciebie? Nie, nie! jaka ty byłaś dla niego? dla twego chłopca?...

To „ty”, nieoczekiwane „ty” w ustach dziewczyny — i potraktowana nim stara kobieta razem ze swoją doświadczoną mądrością znalazła się na kupie gruzów.

Nim wyszła z oszołomienia, nim po oszołomieniu do siebie przyszła, minęło chwil parę. A tymczasem dziewczyna, nawiedzona nagle przez przemożne przypomnienie, uchyla, rada, spadły na obie ciężar i pierwsza odzywa się, uśmiechając się i lekko wzruszając ramionami:

— Nasza, to jest moja, mama nigdy o sobie nie chce nic powiedzieć. „A idźże ty — mówi. — Nie pamiętam. Miałabym co pamiętać. Jeszcze w tym wieku.” Tak mama mówi.

Na stoliczku niskim, owalnym, obok maszynki z kawą, stoi butelka, dwa kieliszki. Kobieta nalewa oba. Do pełna. Nie patrzy, czy dziewczyna macza usta w złotobrunatnym płynie. Ona sama nie umoczyła ust. Nie może poruszyć drętwymi wargami. Poprzez ogłuszający zapach koniaku z trudem przenikały do niej pytania nie będące pytaniami, wymagające odpowiedzi innej niż ta, jaką dziewczyna nosiła w sobie samej. Ta odpowiedź? Uprzytomniono jej nagle a pośrednio, że i ona „nie pamięta”. Tyle tylko, że raz „zerwała się burza”. Trwała krótko, ale ona, ona już nigdy nie wydostała się z tej burzy. Bo dziewczyna z jej imieniem, którą po przejściu nawałnicy znaleziono, była zaledwie siostrą tamtej. Doświadczeńsza, wiele szczęśliwsza pozostała jednak już na zawsze związana z ową przepadłą w burzy, z tą nie istniejącą — i w ten sposób uniesamodzielniona. Co z tego mogła przekazać dziewczynie? Oparła gorącą dłoń o chłodną butelkę.

— Napijesz się jeszcze kieliszek?

Dziewczyna już odchodziła. Czekają na nią koledzy. Już jest nawet spóźniona. Ale było tu tak przyjemnie...

— Zaczekaj chwilę, dam ci adresy, o które prosiła dla ciebie matka w liście stamtąd. Spis będzie niepełny, niektórzy nie żyją, paru innych wyjechało. Gdybyś, gdyby twoi koledzy, gdybyście jeszcze potrzebowali czegoś, może mogłabym...

— Dziękuję. Chyba już nic. Chyba to już wszystko.

— Wszystko.

Odwiedziny były skończone.

Tak właśnie należało nazwać: „Odwiedziny”. To jej błąd, że myślała o zapowiedzianym przyjeździe jako o „spotkaniu”.

Dla oszukania samotności wystarcza wizyta czyjaś. Nawet gdy krótka, a ktoś nieznany. Odetchnęła z głębi. Spróbowała być znowu uśmiechnięta. Umiała szukać ulgi w rzeczach przeciwnych.

A gdy stara kobieta lekkimi wciąż ruchami starczo sztywnych palców zgrabnie zbierała na tackę podwieczorkowe przybory — dziewczyna pociśnięciem karminowego paznokcia puściła w ruch windę, przysięgając swemu odbiciu w tym lustrzanym pudle, że będzie, że będzie, że będzie, że będzie (cztery lustrzściany miała winda) unikała starych ludzi. Kobiety szczególnie. W ich towarzystwie, nawet chwilowym, nachodzi na człowieka coś takiego, że gada głupstwa, a potem żałuje. Ona, na szczęście, nie ma czasu żałować: tramwaj podjeżdża do przystanku.

— Czy muszę jechać tramwajem?

Wybiegając z bramy czuła się lekka. Tak lekka, że mogłaby frunąć ulicą pod lub nad platanami.

Wóz zatrzymał się z piskliwym zgrzytem nie dalej jak o dwa kroki. Były w nim wolne miejsca. Konduktor i kierowca, znudzeni i w upale senni obaj, spoglądali przez szyby na chodnik, na dziewczynę na chodniku, jak podnosi ramię, jak podbiega. Ożywili się orzeźwieni. Wskoczyła na stopień i — do wnętrza. Wóz z nią ruszył. Odjeżdżała.

Karteczka z niepełną listą tutejszych matczynych znajomych, starszych mężczyzn i starszych kobiet, zmieściła w kulkę furknęła za tramwajem, podskoczyła na powietrzu i na jezdnię padła tak ostatecznie, jak kamyk ciśnięty w wodę.

„Młodość” — myśli stara kobieta ściągając w kuchni gumowe rękawiczki z rąk suchych po umyciu naczyń.

„Jaka by nie była młodość, zawsze jest ona bogaczką. Ale posiadacze skarbu nie wiedzą o nim, nawet, gdy umierają z głodu trzymając bochen chleba w rękach, przekonani, że to bryła złota nieukaśliwa. Oto jak wypaczyliśmy proste pojęcia o życiu, a oni płacą teraz za nas, którzy już nie istniejemy w grze nawet jako stawka.”

Zdjawszy fartuch wróciła do opustoszałego pokoju. Ryżowa mata na oknie nasiąkła przez ten czas wieczorną zorzą. Zachodziło słońce. Na razie tylko za dachy i kominy. Ale można już zwinąć zasłonę i, wychyliwszy się, po staroświecku, naiwnie i śmiesznie, poszukać na niebie księżycy.

Oto on.

Wsunięty między wierzchołkowe gałęzie tarasowego ogródka, mości w nich krótkotrwałe legowisko. Dałby się chyba sięgnąć ręką niby obłaskawiony niedźwiadek bambusowy, chińska kulistogłowa, czarnosrebrna Panda.

Odkądże to? Odkąd wyrosła z dzieciństwa w młodość, sięgała księżycą oczami i myślą, gdy wspinał się po niebie wysoko nad ziemski świat. Widoczny zewsząd, z każdego miejsca. Na jego to obwodzie łowiła w ów czas inne spojrzenie i inną myśl stale do niej wysyłane z miejsc różnych, rozmaicie odległych, zawsze dalekich... Nawet z tak niepokonanie dalekiego miejsca, jak pewien małomiasteczkowy ogródek, sąsiadujący płot o płot z jej rodzinnym domem, ogródek oddalony bardziej, niż gdyby go zasadzono na równiku czy biegunie.

...Odbity od srebrno-czarnej tarczy promień śmierci wrócił w źrenice, które go wysłały, i zatrzymał się w nich, nie mając już siły przeniknąć w głąb serca: biło wzmożonym rytmem, odmładniało. Stara kobieta pożałowała nagle, że nie zatrzymała dziewczyny do chwili wschodu księżycy, wobec czego dzisiejsze spotkanie ich obu (gdyż jednak było to spotkanie) nie otrzymało właściwego zakończenia. Szkoda.

PRZECHADZKA

Kiedyś były tu wzgórza, wąwozy, strumienie, las. Dziś stoją setki okazałych budynków. Między nie zstępują i wstępują aleje, ulice... wśród nich krążą za-
ułki... przylegają place do nich.

To już jest miasto.

Oto jedna z tych dzielnic nowych. Jeszcze nie okrze-
pła, rozrastająca się w górę i w dół szkłem, kamie-
niem, metalem.

Las — wegetuje, pozbawiony siły, przestrzeni, ucy-
wilizowany, zamieniony na wiele małych prywatnych
ogródków i na jeden — publiczny spacerowy ogród.
Do tego ogrodu dojeżdża się lub dochodzi piękną cie-
nistą *viale*, okrążającą go w leniwej zgodzie z Tybrem
nizinny. Ogród jest mało uczęszczany. Pewnie dla
tej przyczyny, że leży na uboczu.

Ale po drodze do niego — rojno od tłumów. Prawda,
zatrzymują się one niżej, na niewielkiej płaszczyźnie
zbocza sąsiedniego.

Zaczarowane miejsce! nawet za dnia. Lunapark.

...A wieczorem, a nocą! Nikt nie ominie, żeby choć
nie spojrzeć, przystanąć, jeśli nie dać się wciągnąć do
gry.

Reżyserzy? aktorzy? widzowie?

Jeden zespół wielogłowy.

To zaś, co trwa niezmiennie — to ruch.

Wszystko w ruchu nie zastygającym w żadną trwałą formę: dźwięki, światła i cienie, maszyny i ludzie, zachcianki i żądze, kaprys i namiętności, kalkulacja i pozór niespodzianki, zaskoczenia.

Ucieczka? Pogoń? Raczej tylko powrót.

Powrót do dzieciństwa.

Zrealizowana niemożliwość.

Ogłuszający i oślepiający sen o wszechmocnym, wszechobecnym szczęściu. Ono samo! Wirujące, skrzydlate, niedościgłe — schwytane! Tanie, niedrogie. Wzrok, słuch, smak, dotyk, węch, uczucie chłodu i żaru, i — jeszcze, czego doznań zmysły rozbawione zażywają lekko, a co nie nazwane zostaje! Wszystko! — za jednorazowe sto, za dwieście, no, za tych trzysta lirów. ...I nie za tyle nawet. Za darmo. Za — nic. Za przystąpienie i postanie na skraju jezdni i chodnika, skraju, który przechodzi nieznacznie w zaczarowany teren kolorowych sztuczek.

Kobieta w ciemnym płaszczu, za ciężkim na tę porę roku, zatrzymała się właśnie, ażeby tak oto sobie powstać.

Patrzy na targ przystępnych radości i oczy jej błyszczą uciechą, a to sprawia, że nie uszmkowana blada twarz o zwiotczących mięśniach i drobno porysowanym naskórku odzyskuje świeżość i barwę.

Zacieżył płaszcz. Na to dotąd nie zwracała uwagi. Teraz z trochę niecierpliwości odpina guziki płaszcza, zdejmując też szalik z szyi i wkłada go, bądź jak zwinęty, do kieszeni.

Zrobiła kilka kroków po krawężniku. Znów zatrzymała się. Stoi w miejscu. Promienieje. Czemu nie wkroczy głębiej, na obszar gromadnej zabawy?

W tłumie bawiących się rozmaicie nie brak starych. Ci, zewnętrznie niesprawni i zniekształceni bardziej od niej, wewnętrznie głębiej niż ona spustoszeni,

w przeciwieństwie do niej, wyobcowanej, włączeni są w społeczność lunaparkową na równi z szalejącymi radością dziećmi, z młodzieżą niczym nie skrępowaną.

.

Formalność przy wejściu — kolorowy papierek, bilet wstępu, tylko dla niej jednej zostaje do końca formalnością papierkową bez treści.

Ale gdyby mimo to spróbowała szczęścia? Przegrywa się lub się wygrywa... wygrywa lub przegrywa... Ta publiczność składa się wyłącznie z grających. Grać trzeba. I kobieta o za młodym uśmiechu na twarzy przywiedlej, obciążona za ciemnym, za grubym płaszczem, zanurza rękę w torebce, szukając jednocześnie wzrokiem wokoło siebie.

Potrzebną monetę trzyma już w palcach, a po chwili znajduje, kogo szukała oczami: obdarty, brudny i śliczny dzieciak kilkuletni, samopas wałęsający się na granicy nieprzekraczalnej Raju, zdziwiony jest tylko przez mgnienie. Małe, pokiereszowane palce zamknęły się łapczywie na pieniążku. — *Grazie, signora* — trwało krócej niż nieartykułowany krzyk, z jakim popędził między najjaskrawiej jarzące pawilony. Kobieta poszła śladem.

Z rozsądnej bliskości towarzyszyła dziecku w jego wędrówce od „ruskich gór” do diabelskiego młyna, od samochodowych zderzeń na kolistym parkiecie do wzlotów sputnikami.

Muzyka, hałas maszyn, głosy żywych istot — przenikały przez nią, zostawiając ją w nie kończącej się wibracji czystej jak stal wesołości. Wydawała się sobie precyzyjnym Narzędziem, przeznaczonym dla jakiejś Dłoni, której istnienia i władzy nie była dotąd świadoma.

Obejrzała się na dziecko. Usadowione w pomalowa-

nym jaskrawo discoverze wśród rozrzutności elektrycznych mrugających lampek, uwieszone do metalowego szkieletu karuzeli, wzlatywało ku Lunie, która blada, cicha po staroświecku, po staroświecku daleka, żeglowała nad lunaparkiem.

Matki wołały coś z dołu do bujających w górze dzieci. Ona — milczała: dziecko obdarowane jałmużną nie znało jej głosu, ona nie знаła jego imienia.

Krepy, muskularny mężczyzna wyszedł spod uchylonej płachty namiotu, w którym podnosił ciężary wobec widzów. Stał w milczeniu obok milczącej kobiety. Gdy maleńki obdartus, zachłystując się jeszcze wielkim pędem powietrza, wylądował tuż pod nosami obojga lekko, łukiem, jak korek od spumante — atleta wrzasnął sierzdście: — *E, bastardino! Su!* — i kładąc ciężką łapę z ostrożną czułością na cienkim karczku dzieciaka, pociągnął go za sobą, tulącego mu się całym chudym korpusikiem do zwalistego uda.

Nie spojrzeli na kobietę. Zrozumiała — dziecko było... u siebie, należało tutaj, bez monet i bez papierków. Nie, nikt jej nie oszukał. To ona chciała oszukać. Zawstydzila się siebie — przed sobą.

Falszywe uczucie, że jest obserwowana, kazało jej błdzić tu, tam, aż zatrzymana została przez wąską poręcz przed fontanną z wirujących baloników. Nie rozumiała, o co chodzi, ale zaciekawila się. Nareszcie, zapomniawszy o sobie, goniła zachwyconymi oczami różnego koloru kule, małe globy, jakby umyślnie dostosowane do wgłębienia dłoni. Tylko wyciągnąć dłoń po nie!

Wznosiły się, zniżały się i znowu się wznosiły na niewidocznym, igrającym z nimi oddechu.

Co za widok, kobieto! Uszczęśliwione serce tańczyło w niej łagodnie, zgodnie z łagodnymi ruchami baloników.

Czasem o jej uszy obił się bliski, suchy, martwy trzask, którego nie rozumiała, któremu nie zamierzała udzielić uwagi.

Baloniki! Baloniki tańczące, fruwające! Ale oto ktoś próbuje wetknąć jej w rękę zabawkę-karabinek:

— Jeszcze dziś nikt nie oddał najcelniejszego strzału, *signora mia*, i może właśnie na panią czekała fortuna?

Kobieta potrząsa głową przybraną zgrabnym, ale nie-modnym kapeluszem, otula się szczelnie za grubym paltem i odchodzi szybko, potykając się w pośpiechu. Zda się jej, iż słyszy śmiech za sobą.

Owszem, ktoś śmieje się — nie z niej.

A ona znalazła się znowu tam, skąd rozpoczęła wędrówkę, na tym samym krawężniku, dzielącym chodnik od jezdni.

Ponieważ chodnik zatłoczony jest narastającym tłumem, kobieta zeszła na jezdnię. Upatruje sposobnego momentu. Teraz! Wniknęła między dwa przeciwne nurty pojazdów. Zwinnie ląduje po drugiej stronie.

O kilkadziesiąt kroków dalej jest mały, na trzy stołki, barek przy stacji benzynowej. Zamówiła jakiś płyn z lodem. Ani ją orzeźwił, ani nie poczuła smaku. Położyła jakąś monetę na kontuarze obok opróżnionej szklanki. Zmęczona do ostateczności odchodzi stromą i wąską jak wawóz ulicą, wchodząc między spiętrzone tarasami domy nabudowane wysoko, na wysokościach wzgórz, z których wychylają się wielkie drzewa małych ogródków, wielkie drzewa wiążące się konarami nad małymi ogródkami w jeden widmowy pod widmową Luną — las.

Kobieta od niedawna tu mieszka.

Do tej — przeniosła się z innej dzielnicy miasta

o prostych, szerokich arteriach. Toteż zdarza się jej, że błądzi między zaułkami, zanim natrafi na właściwą z wielu *via privata*, które to uliczki i przesmyki bynajmniej nie stanowią prywatnej własności i niczym się nie różnią od bliźniaczych, a pozbawionych takiego napisu na narożnym murze.

Po wyżej opisanym wieczorze z cyklu pogodnych przyszedł okres deszczów. Przedłużyły się aż po pierwsze dni jesieni.

Zalane wodą szyby okien, zalewane wodą kamienie tarasu, woda przelewająca się przez rynny i po dachu, woda spływająca do bramy, wody ciekące ulicami, wybuchające z kanałów.

Niebo uczynione z wody.

Mury wodą nasiąkłe.

Powietrze, jak gąbka, wciskające wilgoć w każdy oddech.

Kobieta wcale lub mało wychodziła w niepogody, odrabiając w domu swą nieskomplikowaną, zleconą jej pracę.

Jak wielu ze współmieszkańców tej dzielnicy źle znosiła długotrwałe słoty. Nie tylko fizycznie. ...O czym myśleć? Nad czym zastanawiać się? Czego jeszcze pragnąć?

Wszystko wygasa, zszarzało wszystko, wszystko martwieje.

Jeszcze parę lat temu, w innych okolicznościach, byłoby to tylko sezonową niedyspozycją, przejściowym zmęczeniem.

Obecnie... Przepracowana nie jest.

Co tu może mieć znaczenie? lata? okoliczności? Bzdura! Została taka sama mimo przybranych paru lat i zmienionych warunków.

...Taka sama?

Ktoś, kto? określił kiedyś, kiedy? podobny temu stan, jako trupa: położony — leży, postawiony — stoi, przewrócony pada.

...ale to przecież była mowa o „*santa obbedienza*”, o „doskonałym posłuszeństwie”!...

Gdybyż w jej wypadku chodziło o podporządkowanie się rozkazowi! — Już samo otrzymanie rozkazu świadczyłoby o niepozostawaniu w samotności.

Samotność. Nie ona jest najgorsza, a świadomość jej: uprzytamnia samotnikowi jego schorzenie, nie dostarczając nań leku.

Deszcz. Deszcz.

Ale oto odwrócił się porządek rzeczy. Ukazało się słońce. Należy korzystać z uśmiechu świata. Krótkotrwały!

Kobieta przezwyciężyła otępienie umysłu i ciała. Z nakazaną sobie żywotnością wyrusza na pierwszą dłuższą przechadzkę. Spacer dla spaceru.

Cieszyło ją, że stąpa po suchym chodniku, że oddycha słońcem.

Doszedłszy skomplikowanymi zakosami nad znajomą aleją, szukała wzrokiem na dole, pod sobą, znajomego, jeszcze z lata, miejsca uciechy: lunaparku.

Odnalazła placyk na skarpie, lecz ten miał wygląd nie swój. Znikły malowane namioty, nie wiedzieć gdzie się podziały ozdobne pawilony, parkiety, ażurowe hale... Na miejscach wymyślnych maszynerii, skomplikowanych abstrakcyjnych konstrukcji była — pustka,

której nie mąciło sterczące w paru miejscach bezkształtne żelastwo, deski luźno leżące, niechlujny stos rozlatujących się, obdrapanych z farby ławek. Zresztą sam ten plac to była naga ziemia! Naga, poryta, podziurawiona, zdawało się bez celu i sensu, jakby pastwiło się nad nią coś bezdusznego.

Kobiecie przykry był ów widok nieoczekiwany. W tym miejscu! Że jednak zstępowała z góry, i nie prostą, ale krętą uliczką, rychło straciła go z oczu, na pierwszym zaraz zakręcie.

Widziała teraz inną część wielkiej viale. Ale i to, co miała przed oczami, nie podtrzymało jej na duchu.

To prawda, że dzień był pogodny, słońce świeciło klarownie, niebo błękitniało, powietrze trwało dalej bez najłżejszego poruszenia idealnie spokojne, a wspaniały czterorząd krzepkich starych platanów tworzący aleje lśnił metalicznym brązem i złotem — wegetatywne uosobienie pewności, trwałości, bezpieczeństwa, pełni.

Jeśli więc jednocześnie mogło się dziać to, co spostrzegła, a co wzbudziło w niej, dlaczego? strach bardzo ludzki... Od drzew odłączają się liście... dziwne widowisko: nie wiatr je strąca.

Wiatru, a nawet powiewów, nie było.

...Także nie na skutek uwiednięcia następuje to odłączanie się liści.

Liście były wszystkie jędrne, zachowały kształt nie naruszony.

Najpierw było ich, odłączających się, niewiele. Odchodziły się po jednym, każdy z osobna, od swej gałęzi, od swego drzewa. Spadały na ziemię nie od razu. Przystawały w powietrzu. Niektóre utrzymywały się bez żadnego oparcia tak długo, jakby nie miały spaść. Spadały jednak, przesuwając się tylko jak gdyby z jednego niewidocznego stopnia na drugi, coraz niżej, aż — do upadku całkowitego.

Po tych pierwszych, nielicznych, odłączały się gromadami już dalsze. W ten sam sposób: w kompletnej ciszy, z identyczną powolnością. W ciągu kilku minut przesunęły się obok wierzchołków, konarów, pni — nie dotykając ich, dalekie im, obce.

Tak. W ciągu kilku minut.

Dzień jest bezwietrzny, słoneczny, a całe listowie znalazło się raptem na ziemi.

Bezmyślnie liczyła pozostałe na drzewach sztuki.

Było pusto — ludzie obiadowali.

W granatowym służbowym kombinezonie człowiek z ekipy oczyszczania miasta wyszedł zza zakrętu. Włókł nogi zwyczajem wieśniaków ciężko, powoli. Niósł na ramieniu długi kij zakończony szurpatą wiązką brzo-zowych witek i — również na długim kiju umocowaną, płaską drewnianą łopatę, narzędzia staroświeckie.

Był jedyną istotą ludzkiego gatunku, która chwilowo znalazła się obok niej. Kobieta nieoczekiwanie dla siebie samej wykrzyknęła:

— Przecież jest pogoda!

— Właśnie — odpowiedział, jakby do niego były zwrócone te słowa. — Właśnie, że pogoda za raptowna. Bo jakby chłód i wilgoć trwały jeszcze, to i liście — lubił dokładnie wyjaśniać — trzymałyby się jeszcze na swoich miejscach, oporując deszczowi i wiatrom. Ludzie miastowe — nie miał zamiaru przestać gadać — mało widzą, choć patrzą. Takie niby nic, liść, a do ostatka swojego drzewa się trzyma, choć i namoknięty, skurczony. Mocno go zły czas musi podgryźć, potrząsać, a i to rady dać nie może tak od razu. Ale niech no po złym czasie nagle przyjdzie słońce i ciepły z nim spokój — oho! przepadło! Same zlatują. Nie ma rady.

Odwróciła oczy od огоłoconych drzew i leżących pod nimi martwych liści, ale nie spojrzała na mężczyznę.

— ...Nie ma rady... — głosem bez barwy powtórzyło któreś z nich dwojga. Nie, nie on. On tylko dodał:

— Akurat, *signora mia*, jak z ludźmi.

Postała sobie jeszcze, gdy on już odszedł. Słyszała go, jak szura miotłą zmiatając liście za zakrętem i zgarbiając je tam na kopce.

Miała czas. Nie jest zmęczona fizycznie bardziej niż przedtem. Należało kontynuować przechadzkę.

Z góry idzie się lekko.

Będzie można wrócić autobusem. W alei na dole jest dogodny przystanek, właśnie naprzeciw lunaparku... pustego po nim miejsca... Pustego, więc może przystanek skasowali? przenieśli? Zobaczysz się. Nic pilnego.

To jest ten placyk. Miejsce nie całkiem bezludne. Ciężarówka z przyczepą. Jacyś ludzie ładują, w kilku, na wóz przedmioty, których kształty kobiecie nic nie mówią.

Ciężarówka odjeżdża ustępując miejsca ręcznemu wózkowi.

A to co?

Kobieta, posuwająca się chodnikiem pomazanym przez koła gliniastą, rozgniecioną przez nie ziemią, stanęła wryta przed okienkiem biletowej kasy: „Cena wejścia do lunaparku”... — z okienkiem, bo tylko okienko zostało z budki, bez wątpienia rzeczywiste, normalne... ona zaś w kolejce pod tym okienkiem (w kolejce dziwacznej, z dwu osób, jako ta druga). Pierwszy, kto stanął przed nią, mówi oto coś do wychylającej się z okienka głowy... Więc jest i kasjer! Reszta postaci za okienkiem tkwi w pustce, z tamtej strony okienka. Cudaczny widok.

Śmieszny pomysł.

Doprawdy, że śmieszny. Dałby się zużytkować. Mo-

głyby to być początkowe kadry reportażu przeznaczonego dla jakiejś kronikarskiej reklamówki jej biura. Opracowuje tam już od paru tygodni scenariusz bez większej nadziei na realizację, właśnie dla braku oryginalności w pomysłach.

Jednak to nie jest wymysłem fantazji — to okienko bez zaplecza, ten kasjer bez kasy, ten widz zabłąkany w brak widowiska!

Rzeczywistością byli tak autentyczną, że gdy głowa znikła z okienka i nagle, osadzona na torsie, ukazała się ponad okienkiem, a dwie pary rąk równocześnie z obu stron chwyciły to, co było do chwycenia (ramy!), uniosły w górę i w chwilę potem złożyły na ziemi obok wózka — kobieta poczuła się zobowiązana do pożegnального skinienia głowy obu... robotnikom. Odeszli z wózkiem, który załadowali deskami. Teraz już naprawdę nikogo plac nie interesuje.

Została sama na placu i była w jakiś sposób rada, że może chodzić po bezbarwnym, bezkształtnym, pustym Niczym — ale tylko do chwili, w której uprzytomniła sobie, że czegoś szuka na jałowym skrawku.

Wtedy od razu ogarnął ją smutek, tak jak zwykł ogarniać uliczki tej dzielnicy nagły, po zachodzie słońca, ziąb.

Już więc miała odejść, gdy zobaczyła je! Były tak kolorowe... było ich tyle, że tworzyły w zagłębieniu niewielkim gruntu jakby kopczyk. Rozpogodziła się. Natychmiast. Bo wyobraziła sobie, ilu to i jakich radości były w swym czasie przekazicielami!

...Oczywiście myślała, że patrzy na zużyte czerwone, żółte, zielone, szafirowe skrawki papieru — bilety wejścia lunaparkowe.

Należało się im chyba jakieś ludzkie spojrzenie.

Podeszła blisko.

Już się nie uśmiecha.

Leżą przed nią podziurawione baloniki. Ich, tańczących, szczątki, po celnych, w nie, strzałach.

Odwróciła się.

Z platanu nad nią, nimi, odłączył się samotny liść. Zesuwał się tak wolno, spokojnie, jakby nie miał nigdy spaść, choć spaść musiał.

— Akurat, jak z ludźmi, *signora mia*.

PRZEPROWADZKA

Dziesiąta rano. Może dziesiąta z minutami. Ostatnie ze sprzętów zniesiono i słyszała przez okno na klatce schodowej, uchylone, jak ładowano wszystko na wózek przy bramie od ulicy, narzekając hałaśliwie nie tyle na ilość, co na jakość. — Rozsypują się graty jeszcze przed dowiezieniem! — Po czym woźnica poczęstowany został, jak się domyśliła, papierosem, bo zniżył i zuprzyjemnił głos, a i zaraz też koła załomotały żelaznymi obręczami o kamienie.

Więc — rzeczy już wysłane. Teraz oni idą tam. Tak oto dokonywała się zmiana.

Późno.

Nie oglądając się przeszła przez próg mieszkania, które zostawiła puste za drzwiami otwartymi, jako że, wbrew wieloletniemu przyzwyczajeniu, nie przekreśliła tym razem klucza w zamku, odchodząc — ostatecznie.

Dwukołowy wózek zaprzężony w niedobraną parę zwierząt pociągowych: osiołka i konia, nędznych obu, oddalał się chybocząc bez pośpiechu między dwoma bystrzymi potokami ciężarówek, cystern, autobusów.

Szła chodnikiem równoległym do dwukółki, jednak nie na dwukółkę ani na woźnicę, lecz prosto przed siebie patrząc, na znajome pochylenie pleców w za luźnej teritalowej marynarce koloru przypalonych kasztanów. Rękawy letniej marynarki wydymał wiatr, mimo że idący usiłował przyciskać łokcie do boków.

Pomyślała z troską, iż powinna była usilniej nastawać na to, ażeby włożył płaszcz na za lekkie ubranie. Zima. Czy aby nowe pomieszczenie nie okaże się bardziej wilgotne od dotychczasowego? Nie oglądała go ona. Leży na przeciwnym brzegu rzeki, a tamten brzeg zalegają nocą i na przedraniu mgły. Pogoda jednak trwa.

Nie zdawała sobie sprawy, że zwalnia. Wózka z rzeczami, woźnicy nie widziała już. Kasztanowa marynarka zarysowała się wyraźniej. Kobieta drgnęła: idący przed nią mężczyzna poruszył plecami tak, jakby miał zamiar obejrzeć się zaraz — podała się więc naprzód, żeby mu być na oczach. Ale on nie obejrzał się, natomiast przyspieszył kroku. Przyspieszyła więc i ona, chociaż pragnęła uniknąć zadyszki.

Słyszy własny oddech przykro świszczący, nierówny — kiepską robotę starych płuc.

...Jak to gadał woźnica dwukółki na ich sprzęty? „Stare graty”.

Potrząsnęła głową, nagle czując, że robi to niezdarnie, za pomocą mięśni niesprawnych, zwiotczałych. ...Nagle? ...Od jak dawna już wiąże szaliki wysoko pod brodą, zasłania szyję kołnierzami? ...Od jak dawna? Nagle?

Stapa niemal na palcach, tłumiąc oddech, jak może. Nie chce, żeby właśnie teraz on obejrzał się na nią, a tym mniej zatrzymał, doczekując, aż ona się zbliży.

Spokojnie. Spokojnie. Wdech — wydech. Wdech głęboki i wydech.

Tymczasem myśli dolegliwe jak szturchańce! Więc — upór: wdech, wydech. ...Daleko jeszcze? Aha — wydostali się z tłoku, tam widać most już. Tu — wózek z rzeczami. Zwyczajnie — przeprowadzka. Nowe mieszkanie. Wdech — wydech.

...Starzy ludzie nie powinni zmieniać mieszkania.

Idą oboje. Ona idzie tuż za nim. Nie mówią do siebie.

Wszystko, co mieli sobie do powiedzenia, zostało powiedziane. Są starzy i mało już mają czasu, aby go zużywać próżno. Jeśli zdarzy się coś nowego, on, gdy uzna za stosowne, zabierze głos — ona, jeśli to będzie konieczne, odezwie się ze swej strony.

Rozmów ogólniejszych od dawna ze sobą nie prowadzą. Może nawet nigdy nie prowadzili. Za młodu — nie są potrzebne, na starość — są zbędne rozmowy o wszystkim-niczym. Zaś dyskusje łatwo przeradzają się w sprzeczki. Między młodymi sprzeczka może być, bywa, wesoło się kończąca — pojednaniem, wstępem do nowych sprzeczek i pojednań. U starych istnieje niebezpieczeństwo zacierzwienia i — którekolwiek postawiliby na swoim, poniesie wtedy klęskę. Zasłużoną. Porozumiewaniem się starych jest milczenie.

Oto most na rzece. Wydał się bardzo rozległy, gdy nań wstąpiła.

Teraz most przenosi nad otchłanią dwukolowy wózek z dobytkiem drobnym, przez lata gromadzonym. ...Czy być może, że aż tak drobnym? w ciągu tylu lat? ...Przenosi także ich oboje, związanych nie tylko ze sobą, ale i z tymi gratami na wózku.

Mosty, chociaż wysklepione w powietrzu nad wodami, są także drogą. ...Droga, ona sama, czy kończy się kiedykolwiek pod nogami?

Stare nogi, obute dziś w twarde trzewiki „do wyjścia”, pragnęłyby zatrzymać się przy kamiennej ławie. Obok każdego słupa na moście są płaskie kamienie, wysunięte jako ławy.

Na tej najbliższej przykłęka para ludzi młodych, bardzo młodych. Współobejmując się, pochyleni nad balu-

strada, patrzą na bieg środkowych fal, z których każda porywa obraz ich złączonych twarzy i pomyka z nim za innymi, z prądem.

Stara kobieta zbliżając się słyszy, jak młodzi głośno wszeptują w siebie cały skarb mowy ludzkiej, nie kończącą się ilość słów-pieszczot, słów-wyrzutów, słów-obietnic, słów-zaprzeczeń! Tych słów różnodźwięcznych, bez innej jednak treści oprócz jednej: oczarowania młodością.

...Czyżby więc nie podejść, nie ostrzec, wskazując plecy uwypuklone pod teritalową marynarką, wózek ciągniony kulawo przez niedobraną parę czworonogów, graty bliskie rozsypki na wózku? Ale młode głosy dziewczyny i chłopca są tak bezosobowe jak ich złączone usta, jak pocałunki ich.

Kobieta nie musi przymykać oczu ani przyciskać rąk do piersi — bo i tak znalazły ją i okrążyły wszystkie minione echa *Sagra dell'uva* — i tamtego, które dało początek: *Valentino, festa dei fidanzati* — również w lutym, jak i dziś dnia czternastego, a roku... tysiąc dziewięćset czternastego także.

Chłopak i dziewczyna tak młodzi, że z pewnością po wojnie (tej drugiej, rozumie się) dopiero na świat przyszli, odwrócili się nagle od płynącej pod mostem rzeki. Nie rozplątując uścisku, nie przestając głośno szeptać i cicho nucić, minęli kobietę.

Wobec ich podwójnie jednakowego uśmiechu, którym publicznie wyrażają nieświadome szczęście, stara kobieta zmęczona, ciężko łapiąca oddech otwartymi jak u ryby w kółeczko ustami, postanawia nie odezwąć się, choć w tej samej chwili coś nowego ma do wykrzyczenia! miałyby. ...Oto jedno ze zwierząt, szkapa, potknęła się w zaprzęgu, dwukółka chybnęła, spiętrzony ciężar obsunął się i rozsuwał w oczach! Lecz szybciej niż woźnica podskoczył mężczyzna w nadmucha-

nej przez wiatr marynarce! Zobaczyła jego chude latające w luźnych rękawach ramiona, jak wyciągają się do góry. Objęły, podtrzymały, naprostowały sterczące sprzęty, rozluźnione tłumoki.

Wtedy zawołała lub zdawało się jej, że zawołała z głębi serca: „Idę!”, co miało zapewne znaczyć: „Idę z pomocą”, ale było tylko wyrazem uczucia gotowości — jak zwykle zbędnej.

Przez to jednak, że pośpieszyła, wypadło jej po raz drugi zetknąć się z parą młodych. Może im ona powiedzieć owo „coś całkiem innego”, niż zamierzyła pierwotnie. Może im powiedzieć tak:

„Oglądacie przeprowadzkę starych ludzi z ich starymi gratami. Przyjrzyjcie się, proszę: ludzie są rzeczywiście starzy, ale na nędznym wózku, ciągniętym przez szkapę i osła, przewożą coś bardziej wartościowego niż tylko stoliki, garnki, znoszoną odzież. Jest tam kupa niemała dni powszednich, zamienionych na wesołe święta, są maski karnawałowe, kotylionowe orderery wymieniane na noce czuwania i trwogi, są uśmiechy roztopione w łzach i łzy promieniejące uśmiechem, są niezliczone odruchy czułości i dobroci, utrwalone w pamięci jak w bursztynie... jest zwierciadło w złej chwili nieopatrznie rozbite, a potem z zebranych kawałków i drobin sklepane długo, wytrwale i tak umiejętnie, że daje obrazy rzeczywistości prawdziwsze niż uprzednio.

I jest, co najważniejsze, łańcuch o wciąż przybywających ogniwach. Ma tę własność, że jego ciężar z każdym nowym ogniwem staje się lżejszy. Zaś Poręczycielką jego niezbędności jest ta, o dwóch obliczach, z których jedno już i wam, młodzi, odkryte, a drugie... Od oglądania drugiego, obróconego tylko ku nam, my, ludzie starzy, uchylamy się, chociaż ono jest tym, za czym tęsknimy. Tej dwoistości wy pojąć nie możecie.

Minście nas i nasze drobne dobro. Idźcie naprzód, jak jesteście, w uścisku splecionych ramion wszeptując sobie w usta pocałunki i piosenkę.

Że też tego wcześniej nie spostrzegła! Chłopak w workowatym pulowerze, dziewczyna z ciałem ciasno obszytym modną namiastką skóry renifera spacerowali przez cały czas w tęym milczeniu — to ono, małe pudełko, jakie nieśli umieszczone na plastikowym sznurku, wyrzuca ze siebie strzępy ludzkiej mowy!

Poczekala, aż znikli oni i z nimi głos ich przenośnego radio-liliputa. Wtedy przysunęła się do idącego przed nią męża:

— *Ignazio, caro mio*, zauważyłeś? Młodzi! nie mają nic sobie do powiedzenia! Obnoszą się z radiem!

Zdziwił się, że ją to dziwi.

Taki jest już świat — młodość szuka nowości. Czy kiedy było inaczej może?

Powiedziała: — Za moich czasów...

— Były moimi także — przerwał jej. — A przy gramofonie milej nam bywało bawić się niż przy fortepianie, łatwo braliśmy go ze sobą na studencką majówkę. Pamiętasz?

Ale ona pamiętała słowika w rozkwitających gelsominach.

— Powiedziałeś mi tamtego wieczora, że droga przed nami obojgiem wspólna aż do końca.

— Chyba tak rzeczywiście powiedziałem.

Czy jest inaczej?

Nie odezwała się. Szli dalej nie patrząc na siebie. Szli bok w bok. Słyszała, że on usiłuje nucić melodię odwijaną z kręcącej się płyty startej od częstego uży-

wania. Uśmiechnęła się, poznała *Czar walca* Straussa. W milczeniu wzięła go pod ramię.

— Zmęczonaś — zapytał z rzeczową troskliwością i dodał: — To już tylko kilkadziesiąt kroków. Tam, patrz. — Potem wrócił do nucenia.

Widziała ów wskazany jej, rażący wzrok nie usuniętymi dotąd bliznami po wojennych ranach, dom, jak wynurza się płaskim dachem i górnymi piętrami nad rzadką, twardą zielenią żelaznych dębów. Na oko sądząc, miał pewnie ze sześć pięter. Stare budownictwo, bez windy — to się rozumiało.

Zadyszka, jakby tylko na to czekała, bo odezwała się ze zdwojoną natarczywością. I natychmiast ten znany lęk. Zwykły jej lęk przed jakimkolwiek gdziekolwiek wstępowaniem na schody! Każdy stopień pod górę pokonywała z głośnym, niemiłym świstem, wyrzucanym z płuc przez nie dające się zamknąć drżące usta. Niezmiennie słyszała wtedy obok siebie współczujące i niecierpliwe: — Czemu się tak śpieszysz? Zmیلuj się nad samą sobą, stąpaj wolniej. A czy ja ci nie mówię, że od dawna powinnaś się leczyć? — I już nie mogła, nie mogła się opanować! prawie biegła! podskakiwała! sapiąc, kaszląc, zachłystując się suchym powietrzem w krtani, mokrą śliną w przełyku. Tragiczna i śmieszna. Ani tragizmem, ani śmiesznością, niczym, nawet uporem nie mogąca przywołać znikłego bez śladu obrazu młodej dziewczyny, słuchaczki biologii, studiującej roślinność wysokich Alp — praktycznie.

W tej chwili, tu, pragnęła być sama. Bała się współczucia tak samo jak przyczyny ją wywołującej. ...Dopaść podestu pod drzwiami, oprzeć się o zamknięte i — omackiem szukając jak najdłużej otworu na klucz, odpoczywać. To wszystko! Odpoczywać, oddychając coraz ciszej, cicho, wcale...

Mężczyzna jakby zgadł, oswobodził ramię z uchwytu

żoninych palców. — Jesteśmy na miejscu — skonstato-
wał.

Woźnica otrzymał od niego dokładną wskazówkę, jak
ma się pokierować, żeby wjechać z rzeczami gładko
w podwórze położone przy ulicy biegnącej poza drze-
wami.

— A my — prosto tędy. Chodź.

I oto ręka męzowska położyła się na plecach starej
kobiety, a kobieta nie wahając się, przymrużywszy
jednak trochę oczy, weszła na wyszczerbiony stopień
kamiennych schodów, ten pierwszy.

Było ich, stopni, zaledwie kilka.

Dłoń męża nie opuszczała jej pleców. Czuła tę nie-
ruchomą dłoń na sobie całej, jak skrzydło bezpiecznie
złożone w spoczynku.

Skupiła się. Postawiła nogę na następnym stopniu
— z uczuciem niebywałej lekkości. Ach!

...Schody te prowadziły w dół.

— Benvenuta — usłyszała mówiącego jej imieniem
męża. Jednocześnie włożył jej w dłoń pęczek kluczy —
nowych. — Otworzysz nam pierwsza.

Myślała w sobie myślą jeszcze dawną: „Czy to do-
brze, gdy starzy zmieniają miejsce, które zasiedzieli?”
Ale wbrew temu powiedziała, i to bez śladu zadyszki,
gładko, głosem czystym: — Dobrze — gdy zamek
w drzwiach lekko odskoczył.

Puste mieszkanie tchnęło świeżo bielonymi ściana-
mi. Przez okno widać było szpotawe nogi konia i drob-
ne, wysoko obute w żelazne podkowy nogi osiołka —
w spoczynku. Tylko chodaki woźnicy poruszały się
gorliwie. Zdejmował rzeczy z wózka.

DZWONECZKI

Ostatni rzut w lustro.

Zamglona tafla osiemnastowiecznego szkła nie jest bezdusznie dokładna — ukazuje zmięczony delikatnie owal twarzy, w rzeczywistości, inną, tłuszczową miękkością opłyniętej pod skórą, pozbawioną naturalnej świeżości, ale nie pozbawioną świeżej w tym odbiciu barwności lekkiego makijażu.

„Tak właśnie w oczach innych wyglądam. Taką mnie inni widzą” — skonstatowała bez żadnego przy tym szczególnego uczucia. Była za rozsądna, żeby się spodziewać porównań do gemmy. Wystarczyło jej, że całość postaci nie budzi estetycznych wątpliwości. Mogła włączyć się sobą w każde tło. Więcej — czuła się sama tłem. A więc oto przyszła nareszcie ta pora, że osiągnęła prócz zewnętrznego i wewnętrznego spokoju, gwarantujący starym ludziom (nie wszystkim, niewielu) poczucie pełnego bezpieczeństwa.

Okryta jednym z tych seryjnych uniwersalnych płaszczy z nowoczesnego sztucznego włókna, służących zarówno do dopełnienia wizytowych sukien, jak i dla ochrony przed deszczem lub dla zabezpieczenia od wiatru i pyłu — wyszła, drzwi mieszkania zamykając za sobą cicho i dokładnie. Windy przy zejściu nie używała. Dom wielopiętrowy był stary, mieszkańcy stali, zwyczaje wyrównane.

W ciemnej bramie portier stojący z założonymi rękami, żona portiera siedząca obok z kłębkim wełny na podolku, kot z wygiętym grzbietem i usztywnionymi wąsami, prychający ostrzegawczo przeciw psu, pies udawanym warczeniem maskujący prawdziwy lęk przed kotem — zgodnie przeprowadzili ją spojrzeniami. W porządku: pora przechadzki rannej lokatorów.

W narożnym kiosku z prasą zaopatrzyła się w podsunięty jej świeży magazyn ilustrowany. Czy była ciekawa zdarzeń z życia gwiazd filmowych, bludźinsów, polityków, gangsterów, członków rodzin królewskich, asów sportu, książąt kościoła, kolorowych dyktatorów i ich żołnierzy i rebeliantów? nowych prób z bronią nuklearną, z pojazdem międzyplanetarnym wiozącym pioniera-szympana, z jajami kobiecymi zapłodnionymi i rozwijającymi się poza ludzkim organizmem?... Czy była tych rzeczy ciekawa? Nie. Jak wszyscy konsumenci prasy — nie. I, jak wszyscy, płaciła swoich paręset lirów tygodniowo za to, za co wszyscy płacili, gdy sprzedawano, co wydrukowane, a drukowano, co napisane i sfotografowane. Kupuje się, chociażby się nie czytało, pobieżnie się obejrzy przed wyrzuceniem. Bo wyrzuca się. Wyrzuca się sprzed oczu. Ale zawsze, z czytanego lub nie, z obejrzanego dokładniej lub mniej dokładnie — coś zostaje, układa się w warstwy. Warstwy narastają. Powstają złoża formujące z czasem tamy lub tarany. Trudno przewidzieć zrazu, czym się w kim staną. Ale chyba niczym rzetelnie konstruktywnym. Destruktywnym też chyba nie, skoro rzeczy jeszcze mogące podlec zniszczeniu są pozbawione już prawdziwie atrakcyjnej siły. Niektórzy tę sprawę nazywają od jakiegoś czasu tragedią młodych. Ale młodzi są starzy. Starzy zaś nie odmłodnieli. Ludzkość — ślepiec z białą laską w ręce, dziś posługujący się odrzutowcami zamiast dolnych kończyn.

Zwinęła pismo w rulon. Rozwinie, gdy usiądzie w parku na ławce. Rzuci okiem na tytuły nad zdjęciami, na zdjęcia, na podpisy pod nimi. Może nawet zajrzy do jakiegoś artykułiku włamanego między reklamy? To ostatnie — wątpliwe. Pogoda za piękna. Nie za zimno, nie za wietrzno, nie za gorąco, nie za duszno. Pod wieczór nastąpi zmiana. Noc będzie ciężka do przetrwania. Ale teraz jest przedpołudnie.

Wybrała drogę zastrzeżoną dla pieszych. Życzliwym spojrzeniem wita kamienne słupki rozstawione pośrodku w regularnych odstępach. Niektóre z granitowców są co prawda poobtłukiwane, inne nawet poprzewracane. Przysięgli użytkownicy maszyn niełatwo rezygnują ze swej przewagi nawet tu, w miejscu odwiedzanym prawie wyłącznie przez istoty ludzkie niejako marginesowe, szukające spokoju dla spokoju.

Nie znaczy to, żeby cała publiczność mało atrakcyjnego, odległego od śródmieścia, skromnego ogrodu była rażąco inna niżeli wszędzie w miejscach wypoczynku.

Kobieta wyszła powoli na małą otwartą przestrzeń. Niewielkie wzniesienie ułożone zostało w kształt naturalnego pomnika ku uczczeniu tych, którzy w światowej wojnie walczyli z niezupełnie własnej (kobieta wie) woli, we własnej dobrej (kobieta mniema) wierze, że ich udział aż po rany i śmierć w walce, zaoszczędzi walk dalszych nowemu pokoleniu. Wzniesienie to jest także miejscem, skąd ogląda się panoramę miasta, ostatnio wspaniale wzbogaconą przez nowoczesną zabudowę. Tu też parkują samochody. O każdej porze widzi się je dość liczne — stoją rzędami przed dalekim widokiem, mając za sobą płytę z obeliskiem.

Na płycie na obelisku wykute widnieją napisy. Kobieta, ręce oparłszy na żelaznym ogrodzeniu („Nie zanieczyszczać tego miejsca. Nie śmiecić!”), odczytuje wypisane pod ogólną datą poszczególne imiona i na-

zwiska. Robi to z dokładnością, kolejno, jakby dopełniała obrządku. Lata życia poległych (polegli „w kwiecie wieku”) są równoległe do jej własnej młodości. „Jak dawno — myśli — jak to dawno.” Nie ma zamiaru zatrzymać się nad wspomnieniem. Wystarczy, że ona, żywa, wie, iż *n a d a r e m n o*. Ale nie powiedziałyby im tego, gdyby spytali spod tych kwiatów, spod zwieńczonej obeliskiem płyty. Oni? Żaden tu nie leży. Zamurowano garście ziemi zebranej stamtąd, gdzie padli.

...Ale czy ziemia nie jest cała ciałem poległych? Depczemy po ranach. Niektóre jeszcze krwawią. Lecz jak inaczej poruszać się żywym? Wbrew temu, co może myśleć ludzka istota, dożywająca lat sześćdziesięciu kilku, nie zna ona smaku śmierci.

Kobieta odejmuje ręce od metalowych prętów. Nie rozmyślać tu przyszła. Przyszła dla odetchnięcia czystym, świeżym powietrzem, dla ustalonego dziennym rozkładem zajęć odpoczynku. Zaraz tego poszuka głębiej w ogrodzie, wśród alei krzyżujących się poza placikiem. Trzeba tylko przejść na drugą stronę.

Zaparkowane samochody stoją bok o bok, jednakie lub przynajmniej bliźniaczo do siebie podobne. Robią wrażenie pustych, chociaż są wypełnione, każdy parą młodych ludzi. Czasami są to dwaj chłopcy, częściej chłopiec i dziewczyna. Tkwią, ściśnieni, na elastycznych poduszkach w kompletnym milczeniu, w pozornym bezruchu. Ich obnażone, stężałe twarze są pozbawione wyrazu. Maski. Samotna kobieta wymija stojące auta, jakby mijala akwaria napelnione nieznanym żywiołem, starając się nie dotknąć szkła i metalu z zamkniętymi wewnątrz istotami dziwnego gatunku.

Ogród, w którego obfitą zielenią zapuszcza się kobieta, jest publiczny, miejski, ale jakoś niedostatecznie zmniejszczony. Wielkie zsympiska wszelkich organicznych śmieci i plastikowo-metalowych odpadków cy-

wilizowanego życia znajdują się i tutaj na co bardziej malowniczych, ustronniejszych miejscach, posiada on jednak to, czego brak innym publicznym ogrodom, zachowany do dziś smak lasu i sadów. Nietrudno tu znaleźć na skłonie nasłonecznionym szczątek wiejskiego oliwnika ze zdziczałymi starymi drzewami oliwnymi, porozdzieranymi, gdy były jeszcze młodymi szczepami, k'woli wzmożenia i utrwalenia w nich płodności. A oto tam polanka z trawą w kolano, obrzeżona zatoczonym szeroko pierścieniem rozchełstanych na cztery wiatry sosen o koronach nigdy nie postrzyganych — ślad śladu boru, z jałowcowym poszyciem między smolistymi pniami, z kępami dzikiego ziela zasiadłego wśród jałowców, z paprociami rozwieszającymi koronkę liści nad zielskiem wśród cienia. Są i tu aleje, alejki żwirowane. Ale żwir nie trzyma się ziemi, ziemia nie dość ubita ulega każdemu naciskowi, tak że potworzyły się na gładziźnie nierówności, jak na drogach polnych. A gdzie w zagłębieniu przytuliło się bądź jakie nasienie i zakiełkowało, już krzewi się jak na przesiece leśnej.

Kamienne ławy albo i te z żelaznych prętów zwyczajnie niskie, niższymi tu być się wydają. Usiadłszy kobieta jakby spoczęła na ziemi. Z nogami daleko przed się wyciągniętymi, oddychając swobodnie, rozglądała się dokoła z przyjemnym zadowoleniem.

Nic, czego by nie znała. Starzy ludzie. Dzieci z opiekunkami. Psy z ich właścicielami.

Spogląda machinalnie na starych, przygląda się im. Żadnych różnic — pozornie tylko. Pogrążeni w drzemce, budzący się chwilowo z drzemki, rzucający krótkie spojrzenia na wszystkie strony, zapatrzeni w nic. Cisi, mamroczący. Cisi — to ci pogodzeni. Mamroczący — również zrezygnowani, lecz smakujący gorycz rezygnacji.

Wzrok przeniosła na dzieci. W parku tym dzieci nie mają jak ich rówieśnicy w innych parkach kuszących fontann, do których mogłyby wrzucać, co zamarzą, a co pod ręką: brudne papiery, łupiny z owoców, puste butelki, blaszanki, żwir... Grzebią więc bez większego zapалу kolorowymi łopatkami w ziemi, ukucnąwszy pośrodku alei, lub gonią z krzykiem między ławkami ob-sypując się wzajemnie garściami kurzu, szyszkami, ułamkami patyków.

Ich opiekunki? Matki i niańki — zarówno te uśmiechnięte, jak i te nachmurzone, pozostawiając dzieci ich wyłącznej nudzie i wybrykom, prowadzą między sobą rozmowy bez początku i końca, przerywane w jakimkolwiek punkcie, nawiązywane w bądź jakim, idealnie chłonące czas.

Minie godzina, miną dwie — starzy, dzieci, matki, niańki pozbierają należące do nich drobiazgi i odejdą do domów, gdzie na południowy posiłek ściągnie reszta rodziny. Ilość psów zażywających niezbędnej przechadzki zmniejszy się również.

Trawniki pustoszeją jak aleje. Coraz więcej wolnych ławek przy alejach. Wstał ktoś obok siedzący i odszedł także. Na jego miejscu nikt nie siada. Kobieta zmieniła pozycję na niziutkiej ławce, na której sama została. Podciągnęła kolana, prawie pod brodę, oparła na kolanach łokcie, twarz na dłoniach. Grzeje policzki, czoło, brodę — w słońcu. Nie śpieszy jej się... a jeśli — to coraz mniej. Zamiast obiadu zje coś z przekąsek w barze, a wieczrę w domu poda wcześniej, obfitszą, nawet wystawną na ten raz. Goście. Syn z żoną.

Syna widywała bardzo rzadko jeszcze wówczas, zanim się ożenił. Młoda żona lubi antyczne meble. Właśnie urządza sobie dom. Ona mu urządza. Syn zatelefonował wczoraj wieczorem uprzedzając o wizycie.

...Nie mogąc opanować bicia serca, które rozszalało

się na dźwięk tego głosu, słuchała dość przytomnie. Mówił: — Nie chcemy mamie robić sobą kłopotu. — (O, gdyby chcieli!) — Po prostu wpadniemy pogawędzić. — (O czym? O czym, gdy jest tak, jakby jej nie znali.) — Mama poradzi Milly. — (Chce rzeczywiście młoda pani rad starej kobiety?) — Zresztą na pewno znajdzie się u mamy coś z tych pięknych, przekonywam Milly, starych gracików antycznych, jakie Milly, mając dobry smak, uwielbia, a o które tak dziś trudno.

...Tak dziś trudno... A, to prawda. Prawda! Dziś tylko tandety dużo po magazynach. Co dobre — rzadkie, drogie. Praktyczną syn wziął żonę. Sam spraktyczniał. Milly. Widziała ją raz. Nie, nie podczas ślubu z Dziutsu (tak się u Milly nazywa Luigi), ślub syn brał w innym, nie tu, mieście. Młoda para złożyła potem wizytę matce. To jest, ona — synowa — świekrze: matce męża. Tak.

Stara kobieta chciała ująć sobie wtedy młodą, ale — dziecinni są starzy — ofiarowała to, co dla niej samej było najcenniejsze w domu: lustro. Stare, zniszczone lustro, małe, w ciężkiej srebrnej ramie. Latami brało w siebie osoby, zdarzenia... złą i dobrą treść codziennego życia, zawsze, co sercu bliskie, domowe. Nic nikt dla niego nie umarł, nie znikł nikt. Zostali w nim, w jego głębi, wszyscy, wszystko. Są wciąż niezmiennie bliscy, dający się odszukać o szarej godzinie, w minutach milczenia, w czasie nocy bez snu, podczas płaczu we dnie. To wiedząc i — ofiarowując, co ofiarowała, aby nie zdradzić, jak wiele kosztuje ofiara, rzeka, pamięta, jękać się trochę i po starczemu ceglastym rumieńcem rumieniąc się: — Przedmiot ten niewielki ma wartość antyczną dużą. — Co było śmieszne. A na co Milly, młoda osoba umiejąca się znaleźć, wrażliwa (Luigi, nie Dziutsu! będzie w niej miał, nie! ma! odpowiednią swemu stanowisku panią domu) Milly

zauważyła ze swobodą, pogodnie, że — ocenia, dziękuje, lecz że w tych lustrach starych odbicie nie odpowiada rzeczywistości.

Stara kobieta twarz swą, zamgloną, ze startym z niej wyrazem jakichkolwiek uczuć odwróciła od synowej ku synowi. Syn, mąż Milly, nie chcąc matce zrobić przykrości odmową małego jej daru, od razu znalazł dobre wyjście: — W ramy, ponieważ stylowe i masywne srebrne, da się włożyć taflę szkła nową, szlifowaną, jak teraz, na kryształ.

Ot, i wszystko w rodzinie można uzgodnić ku zadowoleniu. Już przy pożegnaniu dali do zrozumienia, iż nie grozi jej zostanie babką, z czego powinna być rada, wygląd mając tak młody i życie prowadząc w pełni samodzielne.

...W pełni.

Kobieta, zdawało się, drzemie. Ale spod powiek przymkniętych widziała ostrzej wszystko dokoła. Tym „wszystkim” była pustka.

Ogród się wyludnił. Zza muru dochodził nieprzerwany szum wielkiego miasta, ale ogród był z niego wyobcowany. Posłała długie spojrzenie ostatniemu psu, szkockiemu owczarkowi, biegnącemu z umiarkowanym pośpiechem za kimś, kto zszedł już z pola widzenia.

Na zewnątrz nie było nic, o co mogłaby się zaczepić — musiała wrócić do siebie. Zdziwiła się temu, co się w niej rodziło. Była tym zawstydzona. Więcej — upokorzona. Czuła, że będzie się tego bała, jeżeli zaraz nad tym nie zapanuje!

Smak samotności знаła. Lecz to...

Przycisnęła końce palców do warg: wierzyła w złą magię głośnego słowa! Oburącz zamknęła sobie usta.

Ale jak zdusić myśl?

Z dołu cicho podjechał, zwalniając, rozłożysty wóz. Zatrzymał się na skraju jezdni, pod drzewami, u trawnika. Z wnętrza wozu wyszły, jedna za drugą, trzy kobiety nieokreślonego wieku. Miały na głowach lekkie toczki z jaskrawych piórek ptasich, nosiły krótkie suknie koloru złocistego brązu, różniące się nasileniami tej barwy. Przyzwyczajone widocznie do koturnów stapały trochę niepewnie na cienkich szpilkach, wysadzanych błyszczącymi blaszkami. Zbliżone głowami ku sobie otaczały czwartą żywą istotę tak małą, iż ledwo między nimi, nachylonymi, widoczną, również złotobrązową jak one — kotkę.

Zwinne zwierzątko spuszczone z rąk, dotknawszy ziemi, wbiegło natychmiast między gęste trawy, przenoszące wzrostem wzrost koci, i w trawach tych znikło. Kręta linia chwiejących się górą ździebeł, w dole roztrącanych, znaczyła niepewnie kierunek biegu. Było jednak i coś bardziej wyraźnego — brzęk dzwoneczków u obróżki. On to wiązał trzy stojące przy wozie opiekunki ze zwinnym zwierzątkiem. Nie groziło kotce zaśląkanie się, tym mniej — zguba.

Gdy samochód ze swymi pasażerkami odjeżdżał, kobieta siedząca cały czas na ławce przypodniosła się — ale zaraz opadła z powrotem: nie widzi przed sobą drogi i też bramy otwartej w murze — nie widziała.

Strach, który w niej zakiełkował, był teraz już na tyle silny, że otwarła do krzyku usta. Lecz — w ostatniej sekundzie cóż to kazało jej poruszyć ręką, na której przegubie nosiła bransoletkę, wążutki metalowy pasek z wisiorkami z turkus, koralu, onyksu, chryzoprasu, berylu, koraliny, ametystu? Zadzwoniły okrągłe kamyki o metal. Zadzwoniły akurat jak malutkie dzwoneczki u obróżki kociej.

Kobieta podniosła rękę, przyśpieszając ruch i dźwięk

bransoletki. Mówiła przy tym szybko, dobitnie, jak zaklinacz. ...Coraz szybciej, żarliwiej: — Tu jestem, tu jestem, tu jestem, tu jestem.

Ale trawy rosły, gęstniały, żdźbła nie ustępowały sprzed twarzy, sprzed piersi, sprzed nóg. Aż zasklepiły się wokoło dzwonienia i wołania. A ręka podniesiona, uderzywszy w ciemności bransoletą o ławkę, sztywno opadła w dół, pociągając całe ciało.

ŚWIECA

Nie — żeby jej unikano. Nie. Ot, tylko takie odnosiła wrażenie, że nie jest specjalnie pożądana. I to już wystarczyło. Podziękowała za zaproszenie. Przeprosiła, że nie skorzysta, jest zajęta. Akurat o tej samej porze. Szkoda. Może kiedyś indziej, może przy jakiejś sposobności, gdy się takowa nadarzy.

Tyle słów! I po co? Nie była obłudna. Za dumna? Czy duma każe jej osłaniać się słowami dającymi do zrozumienia, że i ona ma jakiś wybór?

Każdy ratuje twarz, jak umie i może, czemuż by tylko ona — nie?

Dawno wyzbyła się dumy, a raczej — wyzbyto ją. Tak samo jak młodości. To pierwsze poszło nawet gładziej. Młodość czas jakiś usiłowała zatrzymać! Przez dbałość o cerę, o włosy, o figurę. Przez dobór kolorów, krój sukien. Przez wystudiowane prowadzenie dialogu.

Z tego trzeba było zrezygnować ostatecznie. Wypracowała więc sobie styl życia na trwałej zasadzie: „Nie dostrzegajcie mnie, obcując ze mną.” Grupa ludzka, która ją obejmowała, skłaniała się z całą naturalnością ku przyzwyczajeniom mimo ulegania modnemu popisywaniu się skłonnością do zmian. Stanowisko jej, choć zapoczątkowane zręcznie, nie dawało się utrzymać bez forsownego zabiegania o nie, a zabiegom nie miało być

końca! Spostrzegła rychło żalosność takiego stanowiska: pokornej pychy.

Tak więc — starczyło świadomości, ale zbrakło siły, żeby precyzyjnie się na drugą stronę igielnego ucha — czynność, dla powodzenia której należy się pozbyć wszelkich bagaży, gromadzonych w ciągu całego istnienia, wartościowych i niewartościowych, teraz zarówno nieprzydatnych. Myli się ten, kto mniema, że starość przychodzi z wolna, etapami. Ona jest zwinna i nagła jest ona. Spada w ataku na istotę ludzką i rozbija ją na elementy. To później, dużo później, już po zebraniu cząsteczek, w czasie ich żmudnego na powrót klejenia w bliznowatą całość, sądzimy, że zniszczenie przychodziło powoli, ukradkiem i długo trwało, nim uświadomiliśmy sobie ostateczną katastrofę.

Niektórzy odmawiają zgody na stan przecież nieunikniony. Ich walka jest beznadziejna od początku, lecz trwa, a od jej trwania zależy istnienie złudy będącej swoistą odmianą prawdy.

Od takiej prawdy wątpliwej stara kobieta uchyla się zdecydowanie. Jej reakcje były nawet przyspieszone. Postanowienie pobierała przedtem, zanim przyszło jej objawić. Otóż odpowiedzenie odmową na zaproszenie było takim automatycznym postanowieniem.

Teraz jednak rozważała w sobie, czy także tym razem postąpiła słusznie (...tak niewiele zostało jej czasu — automatyzm odbierał smak i tej części).

„Więc, przypuśćmy — mówiła sobie — żeby uległa chęci i poszła na Dzisiejszy Wieczór”.

...Nie natrętne, bo nigdy dotąd do niej nie przychodziło, więc może lepiej określić je jako „nagle”, wspomnienie — stawiało się przed nią.

Wieczór letni, inny. Wieś. Struga płynąca za wsią pod wierzbami jak w tunelu. Woda strugi od powietrza cieplejsza. W tym miejscu o tym czasie kapie się

wszystko, co żeńskie: baby, panny, dziewczaki. Jak gdyby gąski pióra ze siebie otrząsywały, tak one porywczyymi ruchami piersi, pleców i bioder pozbywają się wierzchnich luźnych szmatek i podspodniej bielizny.

Najmłodsza wśród najmłodszych wyłuskuje się pierwsza. Bez zwłoki samojedna wskoczyła i po bystrzynie zawilej uwijać się poczęła, to pod — to na jej powierzchni! Póki nie zakrzyczały na nią chórem i nie przepędziły, idące wszystkie ławą od brzegu i za ręce się trzymające pilnie a razem statecznie pierwszy krok z ziemi do wody dając wspólnie. Tak oto tę wodę przepraszały i upraszały, nim ją zmacą.

— Dzikusie! — obrzuciły małą bryzgami, zmuszając ją do schronienia się pod zwisłe gałęzie, w sterzące trzciny. — Dzikusie! — krzyczały baby, panny, dziewczaki — obyczajności nie znasz wspólnej! a skądęś się tu wzięła taka śród nas?!

Wtedy to poczuła się obca wszystkim, wtedy akurat, gdy myślała, że postępuje jak każda.

Potem — już tak szło dalej. Odmienność zaznaczyła się głębiej, rosła. Tyle, że świadomości przybywało. Ale świadomość bynajmniej nie była pomocą. Owszem — przeszkodą się stawała na drodze do upodobnienia z rówieśniczkami. Zastanawiała się więc nieraz, czego jej brakowało, co inne z natury posiadały. Chyba giętkości, ot, takiej na przykład, jaką mają wodorosty — dna trzymając się zajadle, po swojemu każdy, ale gromadnie — składające podobnie łodygi na wodzie na jeden, ten sam sposób.

Nie, ona nie ważyła lekce otoczenia, ale go też nie doceniała należycie, znajomość ludzkich cnót i przywar posiadając ograniczoną przez nadmiar wrażliwości, tej bezpłodnej, która nie rodzi ani miłości, ani nienawiści, ale jedynie strach.

I teraz dlatego tylko nie pokwapiła się skorzystać z zaproszenia, że się bała. Bała się, że nastąpi, co zawsze: zebrani będą bawili się w dyskusję. I ona weźmie w niej udział. Ale podczas gdy inni będą kierować swymi słowami zależnie od ukrytego celu, ona pochopnie da się wyciągnąć na słówka, których pożałuje. Biorąc na serio pozory krytyki, chwalby, zainteresowań sprawami czy to ogólnymi, czy konkretnymi — od razu i z określonego stanowiska przyłączy się do „tak” lub do „nie”, nie zostawiając nikomu wątplenia w otwartość (całkowicie zbędną), odejmując dwuznacznej towarzyskiej, intelektualnej zabawie smak rzekomego ryzyka i fałszywej odwagi.

Jak jednak obracać się między ludźmi żyjąc bez ludzi?

Różne są formy słabości. Można nie być dumną, ale wstydzić się upokorzenia. Upokorzeniem dla niej było spędzanie przedświątecznego wieczora w opuszczeniu. Rezygnowała z towarzystwa, ale nie rezygnowała z jego fikcji.

Było za wcześnie, żeby wracać do czterech ścian.

Postanowiła markowaniem czas skrócić. Uwierzytelnić, przed sobą także, bytność swoją poza domem.

Co robią o tej porze kobiety, gdy jak w tej chwili pada deszcz? Bez zwracania na siebie niczyjej uwagi każda może robić zakupy na jutro.

W bliskości nie ma sklepów. Tym lepiej. Poszuka na innej ulicy. Nikt nie ogląda się za samotną pod parasolem, która niesie siatkę na sprawunki.

Przecznice dwie. Oto jatka. Z dwuokienną wystawą. Obejrzymy. Ale można nie gustować w mięsie. Idzie więc dalej. Sklep z nabiałem. Można być już zaopatrzonym w sery, a mleko dostanie się i w niedzielę rano,

świeższe. Powiedzmy więc, że nabrał w tej chwili nas nie interesuje. Natomiast szukamy pieczywa.

Gdy znajdujemy piekarnię — upłynęło już przeszło pół godziny. Hm, to są resztki pieczywa, mało apetyczne. Więc?

Pozostaje wstąpić do baru obok, przy ladzie stojąc nie zwraca się niczyjej uwagi. Rzecz zwykła. Kawa dodaje pewności. *Un espresso*. Cukier? Tak, podwójnie.

A deszcz pada. Jak długo można kręcić się ulicami pod równomierną mżawką?

Wiek nie chroni przed śmiesznością, tym mniej przed przemoczeniem. Jeszcze raz *espresso*? Nie. Noc bez snu byłaby równie męcząca jak dzień bez złudzeń.

Wśród przechodniów można zauważyć natężenie pośpiechu. Ludzie idą do kin. Kina otwarte wszystkie. Zmiana seansów w jednych, w innych wchodzi się bądź w którym miejscu filmu. Na przykład w tym kinie tu.

„Przypuśćmy — powiada sobie kobieta — że pójdę teraz do kina. Wchodzi się tam po ciemku, siada się na jakimkolwiek wolnym miejscu (liczność niewidocznej gromady, bliskość niewidocznej gromady, łączność z niewidoczną gromadą) i patrzy się z ciemności na ekran we wspólnej ciekawości z wszystkimi, jak wszyscy. Ale... naprzód wykupić trzeba bilet, zrobić to — samej. Pojedynczy. Dla jednej siebie, podczas gdy inni... Przypuśćmy, że to nic, że nikt nie skomentuje mojej samotności... No, możliwe, że umówiłam się z kimś towarzyszącym mi lub komu ja towarzyszę, nie w hallu, ale na sali. Na sali... podczas przerw zapalają światła. Widzowie spoglądają po sobie”.

„Więc co? — mówi do siebie kobieta — masz po obu stronach towarzystwo... zdaje ci się, że je masz, bo ty jednak tkwisz w zupełnej pustce. Jedyne tu nic w fotelu w tej sali przepełnionej ludźmi — to właśnie samotna stara: ty. Rozglądasz się, jakbyś wypatrywała

kogoś bliskiego. Na sali ożywienie. Fundują sobie wzajemnie lody, orzeszki, oranżadę, dzielą się głośnymi uwagami. Milczysz. Gdy boy z pudłem słodczy przeciska się między rzędami — spuszczasz oczy, żeby nie napotkać jego niewidzącego cię wzroku. Tak oto kino, przytulisko par i gromad — nie dla ciebie”.

Gdy więc mija budynek kinowy, udaje tylko, że zainteresowała się fotosami, bo, spłoszona ich jaskrawą zachętą, szybko odchodzi wydymając wargi, jakby mówiła: Eh, już to widzieliśmy”.

Parasol ocieżał, deszczówka zaczyna skapywać na rękawy płaszcza, a tyle jeszcze czasu do powrotu.

Kobieta przystaje pod murem, aby otrząsnąć wodę z parasola. To kościelny mur. Poszła kilka kroków wzdłuż muru. Przedsionek z kolumnadą. Drzwi.

Ktoś z przechodzących pociągnął za klamkę, wszedł do środka. Potem długo nie wchodził nikt. Weszła ona.

W pierwszej chwili wewnątrz słabo oświetlone wydawało się puste. Lecz nie było takie. Tu stoi ktoś, tam klęczy, w smudze niepewnej światła, w cieniu, gdzie komu, jak... Nawet ta ściślejsza grupka przed oświetlonym ołtarzem nie niweczy wrażenia ogólnego — samotności. Czyżby i wspólna modlitwa wydzielala każdemu poszczególnemu człowiekowi jego sam na sam z bóstwem?

Ona nie przyłączyła się ani do tych przed ołtarzem, ani do rozproszonych po nawie.

Zatrzymała się zaraz za drzwiami, oparta ciężko o drewno pustego konfesjonału jak o pień drzewa. Nie przyprowadziła jej tu potrzeba modlitwy, wstąpiła tu, ponieważ chciała ukryć swoją zbędność. A oto — jawnie dzieli się samotnością z samotnymi, wyzbyta nagle nie tylko prześladowającego ją lęku, ale i samej świadomości, że ten lęk istnieje i rządzi jej życiem.

Pojedyncze postacie klęczące i stojące pośród nawy

poruszyły się niektóre, rozpięzchły, ta i owa zdążyła w stronę wyjścia.

Ruszyła się i ona.

Już będąc we drzwiach prawie, natknęła się wzrokiem na postać w niszy umieszczoną: kobieta osłonięta całą chustą, schylona nad martwym ciałem, leżącym w poprzek jej marmurowych kolan...

Ujrawszy — zawahała się, zatrzymała przed wizerunkiem takiej Samotności.

Po chwili wahania z bielejącej obok wiązki świec wybrała jedną, zapaliła ją i — niezręcznie kapiąc gorącymi kroplami stearyny, przylepiła świecę do posadzki pod niszą, zanim wyszła.

Na ulicy było pogodnie, deszcz nie padał. W mokrym asfalcie grały wszystkimi kolorami neony. Nadjechał tramwaj i wszyscy czekający na przystanku wsiedli.

Powrót do domu odbył się normalnie.

Wchodząc do swego sublokatorskiego pokoju usłyszała właścicielkę mieszkania mówiącą zza uchylonych drzwi obok:

— No, no, dobrze się pani dziś bawiła w gościach, panno Pietrino!

Chciała jej odpowiedzieć w tym samym tonie, ale znalazła na wargach tylko to słowo: — Dobrej nocy...

W pokoju u siebie rozebrała się po ciemku, nie zapaliwszy światła.

KRZESŁO

Gdy wprowadzano jakąś nowo przybyłą pacjentkę do tej sali mieszczącej tylko sześć łóżek, za każdym razem miano sobie za obowiązek uprzedzić nowicjuszkę:

— Miejsce tam, między szafą a umywalnią, tamto, no tak, zajęte jest przez chorą, na którą panie inne nie muszą zwracać uwagi, trochę dziwaczka, ale bynajmniej nie przykra dla współtowarzyszek. Jej obecność w niczym nikomu nie przeszkadza. A pani nawet nie będzie musiała zapoznawać się ani przyzwyczajać do niej. Tych kilka tu dni...

Bo zwykle pacjentki na tę salę były krótkotrwałymi gośćmi. Same lekkie przypadki: ślepa kiszka, jakieś badanie wymagające czasowego leżenia, nic poważnego. Wpadały tu jak na umówioną wizytę do fryzjera — trochę męczącą i nudną, ale konieczną dla dobrego potem samopoczucia.

„Pacjentka z łóżka między szafą a umywalką”, o której mowa, także przyszła tu była z ręczną tylko waleczką na jakieś badanie, które się przedłużało, na nieskomplikowany zabieg, który ostatecznie nie dał zadowalającego wyniku.

Ordynatorem i, co więcej, współwłaścicielem kliniki jest znajomy dawny męża tej pacjentki z tych czasów, gdy ów żył, to znaczy piętnaście lat temu. Z wdową rodzina męzowska luźne raczej utrzymuje stosunki,

ograniczając się do wypłacania szczupłej renty na zasadzie skomplikowanego testamentu zmarłego.

Kobieta chora i samotna.

Wprawdzie w klinice nie było zwyczaju przetrzymywania chronicznie chorych, ale ordynator, współwłaściciel, był człowiekiem „ludzkim”, na zwolnienie miejsca tego w owej salce nikt jak dotąd nie nastawał.

Stan pacjentki nie wymagał specjalnej troski ani przyczyniał kłopotów. Z nietypową sytuacją oswojono się z czasem do tego stopnia, że mijały dnie, w których dyżurny lekarz zapomniał zajrzeć „za szafę”, a posługaczka w dniu wizyt z miasta w ostatniej dopiero chwili przypomniwała sobie, że i na tym łóżku należy zmienić pościel.

Kąt, wbrew pozorowi, nie był zły. Od umywalni odgradzał łóżko i chronił je niski jednoskrzydłowy parawanik, szafa, zazwyczaj pusta, jeśli nie liczyć leżących w niej zapasowych materacyków i dwu, trzech miednic, po które rzadko kto sięgał, dawała złudzenie separatu nie wyłączającej z ogólnej wspólnoty. Zaś prawdziwą zaletą tego kąta była możliwość swobodnego spoglądania w okno o każdej porze. Wystarczyło otworzyć oczy nie poruszając głową na poduszce.

Kobieta, małomówna z natury i z przyzwyczajenia, nie narzucając się ze swoją historią innym, chętnie przecież słuchała nie kończącej się opowieści, snutej na sali w tyłu odcinkach, ile kobiet przewijało się przez to miejsce. Była zbyt nieśmiała, żeby jej przyszło do głowy włączyć siebie w ten ciąg inaczej niż przez konkretne, na przykład:

— Proszę pani, jak pani będzie schodziła na dół do kwarćwki, niech pani z łaski swojej zatelefonuje do domu, do moich i powie im ode mnie... (Ale nie miała domu, swoich, nic do powiedzenia!) ...i powie im ode

mnie, że gdy tym razem przyjadą tu w dzień wizyt... (Nie przyjadą. Nigdy nikt z nich nie przyjedzie.)

Tak więc, nie mając nic z siebie ofiarować na obowiązującą tu bezpośrednio wymianę — pośrednio tylko brała udział, a i to jedynie w tutejszym, na miejscu, istnieniu chwilowych współtowarzyszek. Tematy: obsługa, zabiegi, dieta. Niewiele innych.

Na dłuższy przeciąg czasu okazało się to nawet dobre: nie wiązała się w jakże zmienne koalicje, nie rzucała się w krótkotrwałe, ale jakże zapalczywe i okrutne walki!

Spokój miała.

Jednak z upływem czasu przymusowy brak aktywności, choć niepostrzeżenie, coraz silniej ogarniał ją, jak owe monstrialnej rozrodczości zielska, wodne hiacyny, zagarniające spławne podzwrotnikowe rzeki, niszczyć ich spławność.

Zostało patrzenie przez okno.

Rozumiała już, że zdrowia nie odzyska. W tym stanie pólchoroby na pewno nigdzie nie byłoby jej lepiej. Ma opiekę fizyczną, zabiegi lekarskie dające złudzenie kuracji, pewność, że w razie czego, nie daj Boże, złego — znajdzie się właśnie w miejscu na taką chwilę przewidzianym. Zmuszona w życiu od małego troszczyć się więcej o innych niż o siebie, i teraz o swoich dolegliwościach starała się myśleć i mówić możliwie najmniej i nie zaprzętać nimi otoczenia. Bała się zniecierpliwić obsługę, znudzić lekarzy, zrazić przelotne współtowarzyszki. Ogólna opinia była pobłażliwa. Nikt jej nie dokuczał i... nikt nie darzył uwagi.

Odzwyczaiła się i ona od poświęcania uwagi otoczeniu.

Czymś przecież człowiek leżący w łóżku musi się zajmować, nawet jeśli jego ręce oddają się dzianiu nie kończącej się ilości oczek z kolorowej wełny.

Więc — patrzenie w okno.

Niezliczoną ilość rzeczy można widzieć w oknie. Pogodę albo słotę. Dziesiątki różnych rodzajów pogód, dziesiątki odmian słoty. Pory dnia i nocy bardziej rozmaite, niż ktokolwiek mógłby sobie wyobrazić! A jeszcze — widzi się swobodę, dal, przestrzeń. Bo okno to nie wychodzi na ulicę. Na dachy też nie. Cztery drewniane ramy zakreślają prostokąt jak blejtram czysty, dopiero przygotowany pod dotknięcie pędzla.

Kobieta bez znużenia coraz to inny realny obraz maluje na nierealnym przed sobą płótnie.

Zdumiewająco długie i zdumiewająco obfite jest życie człowieka, który dożywa siódmej dziesiątki lat. Nie do wiary, ile zawiera w sobie różnorodnych zdarzeń.

Wszystkie one, nawet te najdrobniejsze, najpospolitsze — są interesujące. I jak! Oderwać się od ich obrazu nie można.

Oglądać je zaś należy na różny sposób: w ciągłości, jak następowały, a także, ot, jak przyjdzie chęć, na wrywki.

Własne życie — przeżyte już, dziwna rzecz: nie nuży, a wciąż bardziej i bardziej ciekawi.

...Może dlatego, że barw swobodnie dobierać można teraz, jakich się chce, do woli?

Ona świadomie sięgała po jasne.

Czy tym fałszowała przeszłość? Nie. Wszystko pogodne i dobre istniało w jej życiu i wówczas, ale właśnie tego ona nie mogła czy nie chciała dopatrzeć się wtedy. Bo i patrzenia na rzecz trzeba się nauczyć. To przychodzi z wiekiem, nieraz, cóż? prawdy się nie ukryje — za późno. Ale ona, ona jeszcze do syta może się tą umiejętnością nacieszyć. Tej cichej uciechy nikt jej nie odbierze.

Nie rozumiały tego współtowarzyszki sali, gdy mówiły wybierając się na film do czytelni szpitalnej:

— Szkoda, że pani nie może iść z nami popatrzeć. Tyle tam różności różnych do śmiechu i płaczu. Czego to w tej telewizji nie wymyślają.

...Okno, okno kochane, w cztery ramy oprawiony ekranie od telewizyjnego ileż piękniejszy!

I byłoby dobrze, żeby nie owe dwa dni w każdym tygodniu odmienne, dni odwiedzin.

Do chorych przychodzą goście z miasta.

Już od rana mówi się o tym na sali. Obiad przyniesiony bywa punktualnie. Talerzyki z resztkami deseru nie wałęsają się po stolikach. Około każdego łóżka uprzątnięte starannie. Sprawa krzeseł staje się nagle sprawą ważną. Ich liczba jest równa liczbie łóżek: sześć!

W każdy zwyczajny dzień kobieta zajmująca łóżko naprzeciw okna, między umywalnią a szafą, nie zwraca uwagi na krzesło stojące obok.

Kładzie na nim gazetę, postawi czasem (czego nie powinna, bo od tego jest stolik) szklanekę do mycia zębów lub kubek z mlekiem, rzuci szlafrok na oparcie.

Lecz oto odmiana!

Przez drzwi wciąż otwierane na korytarz wchodzi do sali osoby wołające już od progu:

— Dzień dobry, dzień dobry!

— Jak się masz?

— Co z tobą?

— Świetnie wyglądasz!

— Zmizerniałaś trochę!

— Co ci powiedział doktor?

— Jeszcze cię nie wypiszą?

— Kiedy wracasz?

I jeszcze:

— Doczekać się ciebie w domu nie mogę!

— Patrz, przyprowadziłem dzieciaka, napierał się do mamy!

— Twoja palemka, pomyśl, świeży liść wypuściła!
— Masz tu pomarańczę, babcia sama na targu kupiła.

— Odnawiam mieszkanie, nie poznasz, jak wrócisz!

— Kotka się okociła!

— U sąsiadów pod trzecim, mówię ci, skandal... ale oto i oni w drzwiach... z kwiatami! Tak, masz gości, masz!

To tak do tej, do owej, do tamtej, do wszystkich pięciu. Takie i wiele innych słów. Głośne, przebiegające niefrasobliwie między łózkami... słowa ciche, łzawe, lecz uśmiechami osłodzone... jeszcze cichsze, bez łez i bez radości, a tylko sumiennego obowiązku wagę pełną zawierające, i one także cenne.

Wszystkie przeznaczone dla tej, dla owej, dla tamtej, dla ówtej — z pierwszego, drugiego, trzeciego, czwartego, piątego łóżka, dla nich.

Pacjentka na łóżku szóstym leży poza tą falą podniecenia na pustym brzegu.

Jak zawsze może sobie patrzeć w okno. Rozmaite, kolorów i kształtów pełne są obrazy w szkło wczarowane. Jak witraże w katedrach przepelnione drobiażgowymi scenami z życia. I tak samo jak witraże w katedrach — niedosięgle, obce dziś, innego świata dzieło. To uczyniła je takimi świadomość, że do ciebie, do jednej tylko ciebie nie przyszedł dziś nikt.

Kobieta nie poruszywszy się, nie przesunawszy głową po poduszce, przymknęła oczy — tak ze swego pola widzenia i odczucia usuwa puste okno, nie wychodzące ani na ulicę, ani nawet na dachy.

Ktoś z gości powiada, zniżywszy (jak mu się zdaje) głos:

— Może ona, ta naprzeciw okna, śpi, a tu hałas robimy?

— To nie ma znaczenia dla niej — uspokajają głosy inne (chorych).

Kobieta rzeczywiście przestała zważać na hałas. Co innego ją zaniepokoiło. Wyciąga nieznacznie rękę poza łóżko — dotyka metalu: krzesło. Jest.

Zaraz po obiedzie ustawiła je specjalnie pieczołowicie, bliźniętka łóżka. Nie, nie w nogach.

O tu, na wprost poduszki, w odległości i pod kątem takim, że dłoń można bez trudu włożyć, wychyliwszy się tylko trochę, oczami w oczy prosto popatrzeć... A gdyby słów parę zamienić, nikt z postronnych i westchnienia nie posłyszypiepotrzebnie... jeśli odwiedzający na tym krześle przy łóżku by usiadł.

Teraz, gdy aż duszno robi się na sali, kobieta wie, że odwiedzających wbrew przepisom jest wielu naraz. Nie patrząc, wie także, że krzeseł liczba się nie powiększyła.

Ale — tymczasem... Jak to dobrze, że na jej krześle nie stoi kubek ani szlafrok nie leży... bo oto pierwszy gość. Wysunął się z półmroku, sam mało wyraźny. Ach! to dlatego, że ona powiek nie roztwarza szerzej, rzes wyżej nie uniosła.

„...Daruj mi, niechże tak zostanie, gościu miły, mój miły.

Dawnośmy się nie widzieli. Dawno. Więc same tylko miłe rzeczy mamy sobie do zakomunikowania. Takie, jak zapewnienie o ciągłej pamięci... o czulej przyjaźni... o współczuciu serdecznym... o nadziei, że wszystko zmierza ku dobremu końcowi.

Już, gościu, odchodzisz? Prawda, chcesz zrobić miejsce następnemu. Żegnaj!”

„A ty — witaj, witaj! ...Nie mówisz nic, przyszedłszy tak chętnie? Nie mówmy. Czuję twoją rękę w mojej. Tak — dobrze. Tak spokojnie. Nie, nic mnie nie boli. Nie. Spokój. Rzeczywiście, po co słowa? Mocniej mi

rękę ścisnąłeś? Aha, żegnasz się. ...Odchodzisz, gościu. Dziękuję. Długo pamięć o tobie zachowam w dłoni od wewnątrz, na skroni, na włosach nad czołem”.

I znowu cicho nadchodzi ktoś swój. Pochyliła się nad leżącą z uściskiem lekkim wyciągniętych ramion. I siada na długą chwilę, bliżej sobie przysuwając (nie myślała, że da się jeszcze bliżej) krzesło.

„...Dobrzyście wszyscy, że pamiętacie o mnie, choć tak długo tu leżę. Dobrzy”.

Na sali poruszenie. Pielęgniarka, obdarowana hojniej, więc szczodra i ona, powiada do jednej z przybyłych, która, obładowana paczkami, waha się złożyć je na łóżku przyjaciółki.

— O, tam, proszę pań, jest puste krzesło.

— Gdzie, gdzie?

Teraz ze wszystkich pięciu łóżek głos jeden:

— Tam, przy szóstym łóżku, tym między szafą a umywalnią, wprost okna.

Przybyła waha się, ale uczynna posługaczka już śpieszy.

Miękka pletwiasta ręka chwyta energicznie metalowe oparcie krzesła, gdy kobieta na łóżku zdążyła jeszcze unieść głowę, żeby zobaczyć, jak jej gość znika.

— Jak można tak! Jak można tak! — wybuchło niespodziewanie głośne oburzenie chorej tak zawsze cichej.

Wszyscy na sali zaskoczeni. Ci z miasta przybyli i współtowarzyszki chorej, i sama pielęgniarka.

— Ależ proszę pani — mówi z urazą posługaczka — na co pani to krzesło?

— Właśnie — mówią te z pierwszego, drugiego, trzeciego, czwartego i piątego łóżka — na co jej ono. Przecież jest puste.

Kobieta z trudem chwyta oddech po nagłym wybuchu. Słyszac, co powiedziały, drgnęła, zbladła. Jakby skurczyła się cała pod kocem. Potem wolno, bardzo wolno odwróciła się twarzą do ściany, usiłując róg koca naciągnąć jeszcze na głowę.

One mają słuszość wszystkie: to krzesło puste.

Podczas gdy grube, gorące krople wsiąkały w poduszkę na szóstym łóżku, posługaczka, podsunawszy krzeselko pod liczne paczuszki i paczki, mówiła z fachową wyrozumiałością do chętnych słuchaczy:

— To z długiej choroby ludzie dziwaczejają, ale żeby prawdę powiedzieć, nikomu ta stara nie przeszkadza. A panie, co tu u nas są, nawet nie muszą się z nią zapoznawać, jak nie chcą. Spokojna, nie mogę powiedzieć, i długo ją tu już mamy, o, długo.

KWIAT

Czy ja wiem... może te...

- Tak, proszę pani, są śliczne.
- Albo te...
- Tak, proszę pani, w najlepszym gatunku.
- Jednak... raczej tamte...
- Tak, proszę pani, są właśnie modne.
- A gdyby... jakieś... jeszcze inne...
- Tak, proszę pani, inne mamy także.

Na ladzie między sprzedawczynią a klientką kłębią się, rosną, wzdymają obłoki, chmury, mgły. Zmęczone zaczerwienione oczy nie mogą wydobyć się z mętnej białej zasłony. Koronki, koronki — metry, dziesiątki metrów mgły. Przez dzień, przez wszystkie, jeden po drugim, dni.

- Więc te.
- Tak, proszę pani.
- Nie. Tamte.
- Tak, proszę pani.

...Tak, proszę pani... tak, proszę pani... — Mgła faluje, gęstnieje, rozrasta się.

Koronki, koronki, mgła, mgła.

Mała chwila przerwy.

Wycofała się za rzędy pólek, za firankę za półkami. Chciała być sama z tym listem. Dokąd się schronić? Korytarzyk jak kartonowe pudełko. Za drzwiczkami w komórcie żarówka pod sufitem, wysoko. Tu.

Stojąc wciśnięta między dwie na różnych poziomach miski, usiłuje raz jeszcze przeczytać ten list. Może coś przeoczyła? Może źle zrozumiała? Nie trzeba pochopnie ulegać drażliwości, złemu nawykowi samotnictwa.

„Kochana Ciociu!

My jesteśmy zdrowi, czego i Cioci życzymy. Mama mówi, niech Ciocia nie przysyła dla mnie i dla Margerity sukienek gotowych, bo, mama mówi, brakuje mi czasu na przeróbki, a krawcowej szkoda płacić za takie nic roboty, skórę drze. Mama mówi, żeby Ciocia przysłała pieniędzy, to mama sama kupi, bo wie lepiej. A ja urosłam. I takie kolory niemodne, długie rękawy też. I moje koleżanki się śmieją.

U nas w szkole będzie zabawa, tańce, to proszę Ciocię się pośpieszyć z pieniędzmi. Mama mówi, że Ciocia pewnie myśli, że czas nie leci. Kto nie ma dzieci, to go głowa nie boli. Czekamy na kochany list od kochanej Cioci. Na te pieniądze odwrotną pocztą czekamy. Najlepiej, mama mówi, telegraficznie.

Całuję rączki Cioci. Mama i tata się kłania i pozdrawia całym sercem kochaną siostrę. Margerita się nie dopisze, poleciała gdzieś do koleżanki, a mi pilno list posłać do kochanej Cioci. Koniec. Kochająca siostrzenica Benwenuta”.

Skończyła odczytywanie starannie wykaligrafowanych słów. Złożyła zapisany arkusik na pół i jeszcze raz, i jeszcze.

Wyszła zostawiając za sobą nie zgaszone światło jak klientka, jak wszystkie klientki. Zaraz jednak wróciła z korytarzyka, aby je wyłączyć. Ten raz jeszcze. Tak.

Korytarzyk, firanka, półki, lada, szuflady, pudełka.
— Pani życzy?... tak, proszę pani... w najlepszym gatunku. Inne? Inne też...

— *Signorina Adrianella!*

Szef.

— Tak, proszę pana.

— Przed wyjściem z magazynu.

— Pamiętam, proszę pana.

— Będę czekał.

— Dobrze, proszę pana.

W chwilę po zamknięciu wchodzi do szefa. Kasa żelazna. Wieszadło. Waza na parasole w kącie. Pośrodku biurko. Krzesło obok. Jedno.

Szef po tamtej stronie biurka, ona po tej. Stojąc, szef mówi:

— Proszę przeliczyć i podpisać.

Ona, stojąc przelicza w niewielkiej paczce leżące papierki i trochę bilonu. Podpisuje pokwitowanie. Szef skrupulatnie przesuwając suszkę po podpisie nie wymagającym osuszenia. Chwila bezruchu i milczenia.

— Hm — szef. — Przykro mi żegnać, pracowało się nam dobrze razem, bez zgrzytów, przez te lata, ileż ich? dziesięć. Hm. Chyba wszystko w porządku?

— W porządku, panie szefie.

— To dobrze. Hm. W pani wieku trzeba odpocząć. O sobie więcej pomyśleć. Niech młodzi się trudzą.

— Odpocznę, panie szefie.

— I dobrze pani robi.

Wyszedł zza biurka, podszedł do terakotowej wazy, wyjął swój parasol, sprawdził gładkość futerału na nim.

— No, to, hm, dziękuję pani jeszcze raz.

— Dziękuję, panie szefie — odpowiada zwolniona pracownica.

— Życzę wszystkiego dobrego, panno Adrianello.

— Nawzajem, *signor Tomaso*.

Podają sobie ręce, co wypadło wyjątkowo niezgrabnie, jako że dotąd nie używali tego sztucznego w ich sytuacji gestu. Już on się nie powtórzy.

Przed oczami koronki, koronki jak mgła... mgła jak koronki.

To tylko zmęczenie. Chwilowe.

Jak to dziś rano mówił szef w głośnej rozmowie z kolegą? „Reklama w prasie — oczywiście. Reklama w filmie — doskonale. Reklama w telewizji — wyśmienicie. Ale wszystko to razem — to jeszcze nic. Prawdziwa reklama — to młode, zwinne, sprytnie, uśmiechnięte sprzedawczynie. Szesnastolatki.”

.

Tak, panie szefie.

Pan ma zupełną rację, panie szefie.

.

Przy wejściu na pocztę stoi żelazny kosz. Mimo poważnej pojemności wypełniony po brzegi. Czego nie pozbywają się niecierpliwi ludzie w pocztowej poczekalni.

...Czy niecierpliwi?

Kobieta, nie śpiesząc się wcale, arkusik papieru wyjęty z torebki, złożony w kilkoro, wielokroć zmięty, wygładzony i znowu zmięty, drze uważnie na małe równe kawałeczki, na coraz mniejsze.

Leżą teraz w koszu przy drzwiach, a ona, ściskając źle działający długopis w palcach trochę drżących

i mocno poplamionych, pochyła się nad brudnym pulpitem pod brudną ścianą, zabryzganą jak antyczne freski w starych kościołach, jak marmurowe fałdy posągów w muzeach, jak przegrody szaletów — podpisami arcygłupców nie mogących się nadziwić temu, że noszą imiona i nazwiska.

Kobieta usiłuje mimo otaczającej ją mgły (i tu, na poczcie, koronki, koronki, tiul?) wypełnić czytelnie z całą dokładnością — przekaz pieniężny. Telegraficzny.

Na każdej ścianie, więc i nad pulpitami, wiszą tabliczki z napisem: „Nie palić”. A ta mgła to nie tamta od lady do pólek, od pólek po sufit! Ta mgła, to zwyczajnie — dym. Dym z papierosów. I to ten dym gryzie w oczy, dym — nie łyży.

Jacy niezdyscyplinowani są ludzie. W miejscach publicznych należałoby przestrzegać przepisów. Nie palić. Nie pluć! Nie brudzić murów.

Palcami uwalanymi atramentem trudno otrzeć łzę.
...Nie pluć... nie brudzić... nie płakać...

Telegraficzny przekaz. Pieniądze będą przesłane jeszcze tej nocy, doręczone — jutro, z samego rana.

— Proszę. Dokładnie obliczona suma.

Sobie zostawiła tylko bilon.

— Pokwitowanie? Dla mnie, nadawcy? Dowód nadania. Ach, tak. Jeśli taki przepis. Dziękuję.

Do zawartości kosza przy drzwiach dorzuciła i tę małą karteczkę z pieczętą urzędu.

Gdyby nie światła dużego miasta, wpadłaby w ciemny początek nocy. Świateł nigdy za dużo. I tu jednak na rozjarzonej ulicy dopadła ją mgła.

Kobieta posuwa się omackiem. Cięży jej bilon. Musi jednak mieć te drobne na opłacenie przejazdu do domu.

Przyjedzie i zaraz się położy. Spać. Spać.

„Pracowało się nam razem...” Ano, pracowało —

dziesięć lat. Żeby to dziesięć. Pięć dziesiątków w sumie. To tylko w tym ostatnim miejscu — racja, panie szefie — jeden dziesiątek. Ale już bez znaczenia, gdzie z kim, ile — dla ostatecznego rezultatu: redukcji. Bez znaczenia.

„Pani powinna odpocząć. Niech młodzi...”

Odpocznę.

Już od jutra nie dotknie zimnego sztywnego metra, po zetknięciu z którym palce cuchną metalem... nie zanurzy spierzchniętych rąk w czepliwe koronki. Od jutra odzyszcze od razu wzrok jasny, czysty.

Biel. Wciąż ta sama biel:

„U nas w szkole zabawa.”

...Sukienkę miała białą tarlatanową, rozszywaną koroneczkami, na falbankowym spodzie. Włosy splecione w dwa warkoczki. Białe, z kozłowej skórki, pierwsze w życiu długie do łokcia rękawiczki. Przy pasku świeża róża, u gorsu druga, ale ta jeszcze w pączku.

„Będą tańce.”

Maleńki, o złożonych brzegach, na białej wstążeczce kartonik — karnecik balowy, tyle szczęścia dał wpisać w siebie słowami:

walc

polka

kontredans

Chusteczka z koronką, jak motyl, jak mgielka fruwała w mazurze...

„To proszę Ciocię się pośpieszyć z wysłaniem pieniędzy”.

Przez mgłę całą z ruchliwych świateł, przez tę świetlistą mgłę, trudno dojrzeć, rozróżnić numery tramwajów.

Idą wozy gęsiego. Stały przed, na i za przystankiem.

A ty szukaj swojego.

Mylą się wyjścia i wejścia. Ogólne wśród czekających zdenerwowanie. Tłok. Pchanie się i przepychanie. Zwyczajny o tej porze pośpiech.

No i — rzeczywiście, źle wsiadła.

Czy jednakże ona musi też tak nieprzytomnie śpieszyć? Dziś wysiadzie, gdzie jej się podoba. Którędy będzie jej się podobało, pójdzie.

I tak — zdąży.

Tu wysiąść jej się podoba. Tędy iść. Wystawy, sklepy. Dużo wystaw, dużo sklepów.

...Więc o to chodziło? Żeby się nie śpieszyć tam, dokąd i tak musi iść...

Od sklepu do sklepu, od wystawy do wystawy. Ale sklepy zamknięte. Ale wystawy — nawet nie zdążyła przystanąć przed więcej niż dwiema — zasłonięte.

Co dalej?

Teraz tutaj już tylko ciemna ulica, jak tunel, jak rów, jak dół... trzy metry na półtora... wybrany w ziemi łopata.

Nieprawda! Tu właśnie reflektor rzuca światło snopem. Wspaniały! A światło!... Kolory w świetle, ach, jakie! kolory — kwiatów. Kwiaty! Kiosk z kwiatami.

Ktoś mówił ci kiedyś, że są takie kraje (o swoim mówił kraju), gdzie kwitną kolejno: fiołki na wiosnę, róże — w lecie, nagietki — jesienią. Tu masz je rozkwitłe wszystkie naraz o jednej porze. Te oraz inne. Nie dbają o pory. O każdej cieszą oczy.

Stałaś przed tym kioskiem, jeszcze nie wiedząc, żeś się zatrzymała, bo chcesz...

Czego chcesz?

...przy pasku świeża róża, u gorsu druga, w pączku. Różyczki dostała w podarunku razem z sukienką.

Sukienkę uszyła matka. Różyczki on przyniósł zasłaniając je nieśmiało uczniowską granatową czapką. Był bardzo śmieszny i trochę, troszeczkę kochany, a róża i pączek — prześliczne.

Pierwsza taneczna zabawa. Pierwszy w życiu kwiatek.

Nie, żeby później nie otrzymywała kwiatów. W ciągu wielu lat ofiarowywano jej — imieninowe, świąteczne — uroczyste, sztywne wiązanki, jak nakazywał obowiązujący zwyczaj.

Jednak kwiatka nie dostała już nigdy.

Zapragnęła go teraz.

Cóż, nie ma nikogo, kto by go, polny, mógł zerwać z myślą o niej, kto by go jej — z tym słowem: dla ciebie — dał.

A gdyby tak oszukała smutek opuszczenia?

Jedna róża. Ten właśnie pąk półotwarty. Pąsowa, na długiej łodydze.

...dla ciebie.

Sięgnęła już do torebki po portmonetkę i wstrzymuje rękę: pomysł niewykonalny, pieniędzy już się pozbyła, nawet ostatnie drobne wydała, na bilet.

Ile kosztuje róża? — jedna?

Jaką drobną monetę daje się przeciętnie żebrakowi?

Mniej.

Znacznie mniej?

Poproszę o więcej niż żebraczka.

Kiosk zaopatrzony obficie w towar. Wszystkie od-cienie bieli i różu, żółci i czerwieni, i błękit, i fiolety!

Dwie bez barwy plamy, dwoje ludzi, niemłodzi, nie-starzy, zajęci dziwną robotą: za płócienną ścianę kiosku składają, zsypują, zrzucają garściami, naręczami to, co przygasło, co nadwiędło, co nie zostanie sprzedane.

Góra umarłych i umierających kwiatów wyrasta tuż obok żywych, jeszcze pięknych świeżością.

Jak długo pięknych? Jak długo żywych?

Nikt nie zatrzymał się przed kioskiem prócz tej, co podeszła i milcząc stoi, kobiety z dziwnym wyrazem twarzy: płochliwym i upartym.

Po długiej chwili kwiaciarka zdecydowała zwrócić się do spóźnionej, nierychliwej klientki. Lecz zanim to zrobiła, tamta powiedziała tak:

— Proszę, niech mi pani da różę.

— Jedną? — zdziwiła się kwiaciarka. — Jedną sztukę? — i zawahała się przed wyjęciem pojedynczego kwiatu ze snopa innych róż. — Czterysta lirów, to pierwsze egzemplarze w tym sezonie.

— Nie, nie — kobieta uśmiecha się jak dziecko, które takim bezbronnym uśmiechem uprzedzić chce skarcenie go. — Ja nie kupuję, ja proszę: niech pani kwiat da.

Kwiaciarka jest zaskoczona. Z zasady nie lubi czuć się taką.

— Bez zapłaty?

Milczenie. Irytujące milczenie i ten głupi dziecinny uśmiech. Co to ma znaczyć? Ta kobieta, co ona sobie myśli, kpi?

Kwiaciarka mówi teraz ostro:

— To jest towar, kwiaty. Za towar się płaci.

A tamta stoi, milczy i dalej, choć z widocznym już trudem, próbuje się uśmiechać. Tylko że to nie jest uśmiech dziecka.

— Jakaś głupia stara, pomyłona — mówi kwiaciarka do męża, więc kwiaciarz tylko rusza ramieniem:

— Są i takie ludzie, są i inne, co ci ta wadzi? Po-stoi i pójdzie. A ty rób swoje, kończmy, czas kram składać.

I wzięli się do roboty dla nich zwyczajnej, dzielenia kwiatów na te — do kupna i te — do śmieci.

Obca kobieta już się nie uśmiechała. Cofnęła się w cień. Odchodzi. — Dobranoc — jeszcze wymusiła z siebie, ale że nie brzmiało dosłyszalnie, nie wywołało odpowiedzi.

Komu noc dobra?

Wszystkim, oczywiście. Wszystkim, którzy powracają z miasta do domu, z pracy do wypoczynku, z czuwania — w sen. W sen głęboki, bez przewidzeń i bez udawania, za które trzeba się tylko wstydzić.

Wstyd. O la, la! Nic się takiego nie stało. Po prostu — trochę zamarudziła podczas powrotu. Lecz oto jest przed własnymi drzwiami.

Zaraz zaparzy kawę. Jak zawsze postawi maszynkę na gazie w kuchni, tylko że tym razem drzwi kuchni otwarte do pokoju i — czekając, aż kawa będzie gotowa, popatrzy sobie na ekran telewizyjny. Na ekran... na widma... na cienie...

...Bo w całym tym przeludnionym mieście nie ma ni jednego mieszkania, do drzwi którego mogłaby zastukać i powiedzieć prosto:

— Dajcie mi pobyc z wami, proszę — a iżby otworzono i uradowano się jej, i nie pytając o nic ani się dziwiąc, posadzono wśród siebie... I zostałyby między nimi, a oni nie poskapiliby dla niej swego czasu, który cenią.

*

Z kaplicy tłumem wychodzili ludzie. Drugie tyle dołączyło się na ulicy. I — jeszcze kto ze zwykłej ciekawości zamienił parę słów, przystawał do idących i siedł z nimi. A tak orszak pogrzebowy uformował się liczny za trumną.

Trumna skromna. Więcej: uboga, szpitalna. Na trumnie wieniec. Jeden tylko, ale taki, jak być powinien, gdy ofiarowany przez tego, kto zna się na żałobnych wieńcach: dwa metry w obwodzie, kwiaty ściśło, potrójnym rzędem, na trwałej zieleni. I wstęga, czarno-srebrna z mory, tyle że bez liter.

Jaki dać miała napis kwiaciarka, nie znając osobiście nieboszczki, która zeszła z tego świata przez przypadek (płomień gazu zalała kipiąca kawa i gaz ulatniał się, w czasie gdy denatka przed telewizorem, nie w porę, usnęła).

Za trumną z wieńcem — nie widać, aby postępowała rodzina. Samotna była za życia nieboszczka. Tym większe wzbudza współczucie w całej dzielnicy.

Gdy orszak pogrzebowy mijał kiosk z kwiatami, kwiaciarz sam pod nieobecność żony inkasując zapłatę od klienta za kosz imieninowych goździków i kalii, zwrócił uwagę owego klienta na wieniec zdołający szpitalną trumnę.

— To naszej roboty, panie. Z tego tu, co pan widzisz, towaru. Całkiem za darmo. Żona powiedziała: „Nie będziem nieboszczce żałowali kwiatów”. A wiedz pan, nie znaliśmy nieboszczki. Nikt w dzielnicy nie znał bliżej tej kobiety. Samotna, stara, ale że żyła między nami, ludźmi, świadczą jej ostatnią przysługę. Patrz pan tylko, ilu idzie za trumną. Sam się namyślam, czy nie zamknąć handlu na godzinę. Żona już poszła. Tak, panie, nieboszczka między ludźmi żyła.

NON PASSA

Gdy padają deszcze — a są one obfite, jakby były otwartymi wodami gigantycznej, ponadziemskiej fontanny, pramatki wszystkich fontann...

Gdy padają — a padają we dnie i w nocy, całymi tygodniami, ustając na krótko przy zmianie księżyca lub gdy wiatr ostry, czysty, bierze chwilowo górę nad wiatrem gorącym, dusznym...

Gdy więc padają deszcze — wszystko to tutaj, co ludzie ulepili, ulepili, uładzili sobie jako schron swój — nikomu z nich schronienia nie daje. Dać nie może.

Przez obłe lodygi trzciny, tak samo jak przez kanciaste kawałki zmurszałego drewna — przez zmurszałe drewno, w tym samym stopniu co przez odpady zardzewiałej blachy — przez tę blachę — jednak, jak i przez nieszczelnie ze sobą połączone: cement i kamień, wybrakowane oba — wody deszczowe dostają się na legowiska, czyli barłogi uścielone wprost na ziemi na półłokciowej głębokości obróconej w błoto... na błocie!

Błoto raz podsyca nieco, innym razem w kałużę się zmienia.

Jedyne, co opiera się słońcu, to mur, do którego ludzie przyczepili swe lepianki, z niego czyniąc im oparcie, z niego — im osłonę. Mur — ruina. Pozostałość antycznych rzymskich murów. Sprzed wieków. Sprzed wielu.

Wnętrza lepianek — tych małych poszczególnych

nędz jednej wielkiej Nędzy — zawierają to, co już kiedyś zostało odrzucone. Na przykład: są tu przywleczone ze śródmieścia i z przedmieść stare sprzęty, wysłużone przedmioty domowego użytku i ozdoby, które właściciele ich w ostatnią noc Starego Roku, Sylwestrową, wyrzucali przez jarzące okna na ulice, z mieszkań rozbrzmiewających Noworocznymi Toastami! Są i z pospolitego, bardziej naturalnego źródła pochodzące: ze śmietników. Oko trafne, zapobiegliwość czujna, szczęście sprzyjające i — trafia się na owym terenie zdobycz wcale, wcale niezła. Bywa też i tak, że to, że owo zakupione zostaje zwyczajnie, po ludzku, w sklepie. W takim, gdzie każda rzecz kosztuje te same sto lirów! Albo na targu, gdzie od każdego stoiska wołanie leci: — Okazja! Jedyna! — i: — Jedynie dziś!

Jak by nie było, ci dzisiejsi mieszkańcy miasta zadowolili się w nowoczesnych lepiankach pod antycznym murem i mieszkają. Mieszkają — czyli przeważnie w nich nocują. Czasami dniują w nich także: gdy chorzy, gdy się przed kimś kryją... gdy opada ich melancholia silna, taka, że równająca się martwocie. Ach! Na co zdało się wyliczać sytuacje, w których człowiek bez dachu nazywa swym dachem zlepek nietrwały trzciny, drewna, blachy, złączonych ostateczną biedą i przystrojonych byle jakim, ale — kwiatem.

Geranium — dziwna to roślina. Jest kwiatem ludzi bogatych, którym ozdabia wielometrowe marmurowe i szklane tarasy, i jest kwiatem ludzi biednych, dla których kwitnie w skorupie glinianej, w dziurawej puszcze blaszanej, w szparze między wykruszonymi cegłami.

Stara kobieta, mieszkanka już nie — lepianki, ale ruiny po lepiance, przytulonej do jednej, którejś tam z arkad akweduktu cesarów, odsunąwszy na bok szczątek szczątka maty, markujący teatralnie frontową ścianę i zarazem drzwi wejściowe, ukucnęła na wyimaginowa-

nym, nie istniejącym progą, właśnie przed krzaczkiem geranium, wegetującym w rozlupanej w kształt miski tykwie.

Nie kwitł krzaczek. Słota mu listki rozmiękczyła i odbarwiła, spieka mu listki zbrązowiła i uczyniła kruchoymi jak błonki skrzydełek chrząszczy. Usechl? Zgnił? Ani jedno, ani drugie. Żyje. Zakwitnie. Oto maleńkie, ciasno w piąsteczkę stulone na końcach paru łodyżek, pączuszki. Różowią się zapowiedzią przyszłych kul kwiatowych szkarłatnych.

Cierpliwości, tylko cierpliwości — mruczy kobieta po trosze do rośliny, po trosze do siebie. Chociaż — jeżeli o nią chodzi, o tę kobietę, cierpliwości jej nie brak.

Na ileż to już rzeczy czekała w swoim długim, coraz dłuższym życiu! A przychodziły nawet i te nie oczekiwane, nie zapowiadane. Właśnie one niosły ze sobą żal, smutki, wróżyły utratę kogoś, czegoś.

Ile to nieświadomego buntu w dzieciństwie... Ile było rozpaczliwej, świadomej szamotaniny w młodości... Bez skutku.

Aż po trochu, po trochu przyszedł w niej do głosu wierny druh ludzi twardych, lecz postawionych w sytuacji beznadziejnej: rozsądek. I ten dopiero podsunął jej ową broń dla niej stworzoną — rezygnację. Tę bez goryczy, spokojną, przewidującą, tak bardzo u ludzi w sędziwym wieku podobną do mądrości.

Więc już odtąd przyjmowała wszystko, dobre i złe, na wszystko, na dobre i złe, miała miejsce w sercu doświadczanym na wszelkie sposoby, w sercu ostatecznie wyrozumiałym, w starym sercu.

Kto, jak ona, patrzył spod tych arkad Klaudiuszowych na równinę połą po jednej, na Wieczne Miasto po drugiej ich stronie, a widział spod niezmiennego muru, jak się one zmieniają na oczach z roku na rok, z dnia na dzień, niemal z godziny na godzinę — i wie-

dział, że w jego własnym ludzkim bytowaniu od lat nie się nie zmienia... Że ona sama, jak ten kamień w murze przez sloty i skwary, jest doświadczana przez nędze i żaloby — tedy co dziwnego, że nabrała cech antycznego kamienia? Szorstkości i razem miękkości, urody złożonej z pierwiastków zasadniczych piękna i brzydoty, wzrosłych w siebie nierozzerwalnie, a cudownie się dopełniających. I jeszcze — poczucie trwałości, niezniszczalności wewnętrznej i zewnętrznej.

Zaufanie pyszałkowate, naiwne? Na pewno nie. Wiara. Mocna tym, że nieświadoma. Oto te były cechy starej kobiety.

Ci, co kiedyś wyszli z jej łona, nie do niej byli podobni. Powołała ich do życia i ukształtowała wedle praw życiem rządzących, ale to było ich — nie jej, życie.

Gdy wspomniała swe potomstwo, synów i córki, nie widziała ich dziećmi, widziała ich takimi jak w chwilach rozstania. Córkę — uwożoną przez zięcia nie na wozie zaprzężonym w konie czy muły — ale w maszynie poruszającej się bez pomocy zwierząt pociągowych, w samochodzie (które to maszyny wciąż większe, wciąż szybsze, wciąż elegantsze dają się oglądać w coraz większej ilości na wszystkich drogach i dla których nawet umyślne buduje się drogi). Syna — ulatującego też w maszynie, lecz innej, skrzydlatej, w zrywającym się z ziemi w niebo samolocie (które to maszyny wciąż większe, wciąż szybsze, w coraz większej ilości dają się oczom dostrzegać na niebie). Reszta potomstwa także wyruszyła w świat za chlebem. Jedno po drugim, kolejno, jak dorastali. Zaokrętownywali się z rodzinami gdzieś w porcie i woda ich niosła.

Różnymi posłużyli się drogami, lecz z żadnej nie było dla nich powrotu pod łuki ruiny akweduktu cezarów do ruin matczynej lepianki. Zaś na żadnej z ich dróg nie było miejsca dla matki. Tedy zostawała bez

zmiany na swym miejscu starym, wśród starych kamieni porośniętych tu — ówdzie bluszczem, jak bluszcz nie dająca się od nich oderwać.

Słotę przydługą i skwar nadmierny zarówno jak głód i pragnienie zwyczajne przesypiała ukryta w legowisku. W miłą, rześką pogodę wychodziła na zewnątrz. Pokarmów i napoju nie potrzebowała wiele: tyle co bezpański kot, tyle co płochliwy ptak, nieledwie tyle co mucha. I jakoś znajdowało się ono mogące od biedy nasycić, napoić.

Najpewniej jednak syciła i poila ją możność przebywania na swobodzie. Godziż się przebywanie w ruinach czuć jako swobodę? A ona i więcej czuła: jako radość.

Starej kobiety siedzącej obok rozkwitającego krzaczka geranium pod murem przy lepiance nie nawiedzały obrazy żadne.

Parę lub paręnaście wałęsających się opodal brudnych owiec, pilnowanych przez chłopaka w kraciastej czapce z ceratowym daszkiem, nie przywodziło jej na pamięć białorunego stada, stróżowanego przez pasterzy w spiczastych kapeluszach. Pasterzy grających na fletach z trzciny. Nie pamiętała, nie wspominała swoich lat piętnastu tańczących na przedprożu osterii w cieńniu winogrodu pod winogradowymi złotymi i rubinowymi kiściami, zwisającymi nad i wokoło stołów zastawionych pieczonymi w całości wieprzakami, bochnami chleba białego jak obłoki na niebie, wyrośniętego do takiej lekkości jak one.

Pamięć jej umysłu na równi z pamięcią jej serca drzemały, gdy stara kobieta od niechcenia wodziła wzrokiem po otaczającej ją przestrzeni, w której bliższe i dalsze przedmioty zlewały się dla niej w jedno, odczuwalne jak własna kość i ciało, i w odwieczny mur, o który żyła oparta. Jego wyłamane poszczególne ka-

mienie, jego wyrabowane cegły mogłaby znajdować daleko stąd, w ścianach wspaniałe pięknych, wspaniałe bogatych pałaców, najpiękniejszego miasta cesarów, papieży, artystów... Rzym, jej Rzym, także jej! i tych tutaj rzymian z łepianek.

Na szczęście dla swego spokoju stara kobieta nie ruszała się z miejsca dalej niż do szosy, dalej niż do bloków popularnego budownictwa (te ostatnie nic, ale to nic nie miały wspólnego z antycznością, nawet tak cząstkową).

Mur trwał w stanie, w jakim go zastała. I ona trwała wraz z murem, jego część — ludzka. Niezmienni.

I tylko raz się zdarzyło...

...Gdyby było można cofnąć, unicestwić to zdarzenie. Ale ono już ma miejsce w czasie.

Tamtego ranka kobietę starą, siedzącą w tle arkady, spostrzegło dwoje młodych wałęsających się turystów.

— Patrz, zupełnie Sybilla — powiedziała turystka do towarzysza.

— Strega raczej — sprzeciwił się z uśmiechem. — No, niech będzie Befana.

Mieli ze sobą aparat fotograficzny nowy, jeszcze nie wypróbowany, zgodzili się, że trzeba sfotografować autochtonkę razem z architekturą. Poprosili starą kobietę o chwilę bezruchu za cenę drobnej monety.

Nie było to niczym nowym. Stara kobieta widywała nieraz wycelowane w nią aparaty, gdy leniła się lub odmawiała zejść z zajmowanego posterunku pod nęcącym cudzoziemców fragmentem antycznego muru. Otrzymanych datków nie przeliczała — ani prosiła o nie, ani za nie dziękowała.

Pierwszy raz jednak zaproponowano jej fotografię. Odbitkę. Dla niej. I — rozumie się — na własność.

Zaskoczenie. Niedługo trwające. Zanim odeszli, przytrzymała ich zasadniczym dla siebie pytaniem:

— Czy będę widoczna w ten sposób, jak teraz siedzę?

— Tak. Razem z otoczeniem — zapewniła turystka.

— I będę mogła, spojrzawszy, poznać siebie i miejsce to?

— Bez wątpienia.

— To dobrze. Pośpieszcie się więc, *signori* — powiedziała z naciskiem. — Będę czekała. *A rivederci!*

— *Ciao!* — wykrzyknęła turystka podniósłszy rękę i przed twarzą starej poruszając figlarnie palcami, jak niańka zabawiająca małe, kapryśne dziecko.

„*Ciao!*” — bo zdawało się turystce, że to jest właśnie dla bądź co bądź intymnej chwili słówko mające coś z żartu i z „ludowości” tutejszej.

— *Io spero* — powtórzyła z niezmaconą powagą stara kobieta.

Już nie patrzyła ani na aparat, ani na dwoje odchodzących obcych ludzi. Obejmowała wzrokiem i nie tylko wzrokiem, bo jakby urosłymi w skrzydła, pomnożonymi do siedmiu par ramionami, kamienie wszystkie, przez czas nadzarte, lecz nie strawione, kamienie niewolników, kamienie cesarów, kamienie papieży, kamienie niczyje, kamienie dziś — nędzarzy... Układały się w łuki, w kolumny, w świątynie, w pałace, nad — i — dokoła ruin, wokół płaskiego, zrytego pod fundamenty fabryk pola, na pagórkach i dolinach spiętrzonego miasta, maszyn pędzących po drogach, maszyn — po niebie! Najwyraźniej jednak, twardo i pewnie czuje je wszystkie zapleczem swej lepianki.

Zawsze je czuła, te kamienie mocne. A teraz zachciała je widzieć, ale za sobą siedzącą między nimi w środku, pod ich wieczystą opieką, ona — jak te kamienie trwałe, ona — jak te kamienie nie przemijające.

I pierwszy raz — to dziwne! — pierwszy, czuje nagle trwogę czekania.

Młodość nie wróci, pomyślność nadejść nie może, dzieci i wnuki nie odwiedzają... tylko ta kartka! Ten kartonik, to zdjęcie, ta fotografia!!

Stara kobieta schyla się nad krzaczkiem geranium rozkwitającym? nie rozkwitającym? — *Pazienza* — szepcze cichutko — *pazienza*.

Już na peronie wielkomiejskiego, ze szkła i z aluminium, dworca, gdy wsiadali do błyskawicznego dalekobieżnego pociągu, wesoły turysta z uśmiechem zapytał swoją towarzyszkę:

— Naprawdę miałaś zamiar dać jedno zdjęcie tej sympatycznej czarownicy spod akweduktu?

— Sybilli? naprawdę. I posłałabym je jej, ale nie wiemy, jak się nazywa i gdzie mieszka.

— No cóż — odpowiedział kładąc neseser na siatkę — tacy jak ta stara nie mają imion ani adresów.

UCIECZKA

Poczuła, że nie może iść, nie zrobi ani kroku więcej. Musi usiąść. Żeby nie upaść. To byłoby po prostu głupie. Gdyby idąc — upadła.

Usiądzie. Natychmiast.

Usiadłaby na chodniku nawet. Ale są tu jakieś stopnie. Schody domu.

Usiadła na schodach nie swojego domu.

Siedzi. Dobrze jest nie poruszać się. Dobrze jest wyciągnąć nieruchome nogi, zgiąć grzbiet, opuścić ramiona, mieć o co oprzeć głowę i stopy mieć na czym wesprzeć.

Dobrze jest, bardzo dobrze — siedzieć.

Nie, nie odpoczywała. Nie, nie nabierała sił do dalszej drogi. Po prostu — tak trwa.

Dobrze jest trwać bez myśli o tym, co było, bez myśli o tym, co będzie... Ani ulgi na wspomnienie przeszłości, ani podniecenia wobec nieznanej przyszłości. Teraźniejszość. Tylko ona. Tego dnia, dziś, odczuwana jak nigdy jeszcze.

Dotąd teraźniejszość trzymała otwarte jednocześnie obie te pułapki — przeszłość i przyszłość — zastawione przez czas. A oto pierwszy raz jest ona tylko sobą, czyli niczym, pauzą w istnieniu, pustką, nieobecnością czasu z jego groźnym trójpodziałem. Nic — więc spokój. Nareszcie zupełny.

Wyczerpana poruszaniem się w upale, otepiała kobie-

ta siedzi na stopniu schodów jakiegoś domu, trzymając na podolku rumianą bułkę, którą ktoś wcisnął jej w rękę, gdy jeszcze szła.

Ciasto jest świąteczne. Czerstwe pieczywo kruszy się łatwo. Tych parę okruszków zgarnęła garścią, waży w zagłębieniu dłoni.

Nie myśląc podniosła do ust. Jeszcze dziś nie jadła. Rano nawet nie wypila zwykłego, bez barwy i smaku, kubeczka wrzątku nalanego na szczyptę ziół.

Żuła. Brunatny okrusz bułki był słodki. Świąteczny wypiek. Ludzie miewają święta! Prawie wszyscy! Dobra rzecz bułka.

Przełamała przez środek.

Cukiernik dodał chyba nawet tłuszczu. Ciasto, mimo że stare, nie jest twarde.

Obraca je w palcach niezdecydowanie. Czyżby nasyciła się samymi okruskami?

Suchość w ustach? Gardło ściśnięte. Czy to znaczy: serce? Śmieszne. Nie nauczyła się jeszcze. Można być samotną, a tego nie umieć. Nie nauczyła się pożywiać w samotności.

Jakie by nie było upokarzające korzystanie z publicznej dobroczynnej zupy — była w nim porcja ludzkości.

Czy dzieckiem małym nie biegało się do żołnierzy (jacy by nie byli żołnierze), nie stawiało się przed nimi w gromadzie takich samych dzieci z pustymi garnuszkami wokoło parującego wielkiego, chyba bez dna, kotła? Nie tylko ciepło we własnym brzuchu, nie tylko smak we własnej gębie — owo chóralne chleptanie, młaskanie, polykanie łapczywe, to było także sycące wspólne — krzepiło, napełniało radością, wzbudzało ochotę trwania.

I tak, w ten sposób rok... dziesięć.

Jak ze szpulki rozwita nić — nie kończące się kolej-

ki: po chleb, po mąkę, po jarzyny. Dziesiątki dorosłych, dziesiątki jak ty, istot, które wyrosły z dzieci. Ich ludzkie ciepło, twoje, blisko aż do uduszenia cię. Oni na twoich plecach, na twoich piersiach. Ich gniew, twój, cię ponosi! W tym jest także — twoja nadzieja, wasza!

...I tak rok... pięć.

Brama, korytarze, sala — kamienne. Stoły i ławy. Długie. Stoły i ławy. Kromki ciskane sprawnie, szybko. Miski stawiane ostro. Rękami szczodrze skąpymi. Przepisowo sprawiedliwie. Po równo. Po równo.

Litość? Nie, dlaczego w publicznym miejscu mieliby ubliżać tobie, tobie podobnym? Dobroczynność nie jest czynieniem dobra. Należy do kategorii miar i wag, równie jak one fałszywa i równie realna.

Posuwanie się w kolejce. Powolne. Na obolałych stopach. Bez gniewu. (... Gniew bezzębnych?) Bez nadziei. (...Nadzieja stojących przed pogrzebem z publicznych funduszków miejskich?)

Jak doszło do tego? Przez zbieg niesprzyjających okoliczności? W wyniku nieumiejętnego radzenia sobie? Na skutek choroby? Z niezawinionego pecha? Po prostu — przez starość?

Ale i tu w ciągu pół godziny, każdorazowo, nie jest samotny. Ręka zanurza... nie, nie ręka, ręce zanurzają łyżkę, łyżki, w misce, miskach, niosą do ust... człowiek, ludzie łykają pożywienie.

Pożywienie — żywienie — życie. Żyją — a to już wszystko. I rodzi się w — smrodzie wodnistej zupy, zaprawionej zjełczałą oliwą, uśmiech bezzębnych ust, z uśmiechów ludzkich najpiękniejszy: zbratania. Zbratania w finale biegu do mety, która, być może, nie istnieje. Uśmiechasz się z zamkniętymi oczami po to — żeby meta istniała i żeby przybyć na nią razem, gromadą. Oto, co ważne.

Cóż jest, co byłoby bardziej — ludzkie? Żadne po-

jedyncze wyskoki. Meta. I w gromadzie: wszyscy jak ty, ty jak wszyscy...

Dobrze jest siedzieć na schodach, cudzego? obojętnie! domu, jak na własnych.

Dobrze jest obracać w palcach czerstwą, miękką, słodką bułkę.

Nie można przełknąć kęsa. Mimo głodu. Gardło za- nadto ściśnięte.

Coś, co najłatwiejsze do oszukania: serce, nie daje się oszukać.

.....

Po drugiej stronie pustej uliczki wlecze się suka, zamiatająca sobą płyty chodnika. Pomarszczone puste worki sutek zwisają groteskowo spod jej kościstej klatki piersiowej, spod zakłęśniętego brzucha. Niedawno karmiła. Może jeszcze pamięta napór w sobie mleka, ale ssących ją szczeniąt pamiętać nie może: żyły nie dłużej niż potrzeba czasu, ażeby człowiek podniósł i opuścił łopatę.

Suka ma sierść nieokreślonej barwy, miękkie kudły sfilcowane od wielowarstwowego potu i brudu. Dziwne, że przez tę warstwę tak wyraźnie rysują się cienkie, ostro sterczące kości. I dziwne, że tych kości małych i dużych jest tak wiele. I tak luźno rozłożone w skórze.

Jest coś jeszcze w tym czworonogu, co zadziwia bardziej niż jego chudość, brud i wycieńczenie — oczy.

Suka, skupiona, zdawałoby się, tylko na wysiłku dźwigania ciężkiej głowy na chudej szyi, rzuca wokoło spojrzenia bardziej wymowne, niż gdyby posiadała dar przemawiania słowami.

Wygląda, jakby czuła się tropiona tym razem, ostatecznym, nie przez Kogoś, lecz przez Coś. Szuka sprzymierzeńca — nie przeciw Komuś, przeciw Czemuś.

Siedząca na schodach kobieta, obserwująca sukę, jest wstrząśnięta, ale — zasłoniła się powiekami.

Mijają sekundy dłuższe od minut.

Powieki uniosły się: tamta przeszła.

Kobieta prowadzi wzrokiem za czworonogiem.

Pusto jest koło obu. Pusty też jest skrawek gruntu naprzeciw.

Suka przechodzi chwiejnie do małej przyzmy śmieci i układa się obok nich na wyschłej trawie. Robi to ostrożnie, z wysiłkiem, jakby każdy członek ciała wymagał specjalnego dla siebie zabiegu.

Ale oto już leży cała. Na płask. Jak martwa.

Oczy w niej żyją.

Kobieta bezgłośnie porusza wargami, wyraziście przy tym kiwa głową:

— Głupie stworzenie ty, ej, głupie. Nie znajdziesz tam niczego ani na ulicy pod domami. Zeżarły, co było, koty. Te, jak ty, bezpańskie, ale sobiepany. To im rzuca się stłamszone w papierze okrawki tłuszczu, kostki z kurczęcia, skórki sera. Głupia.

Zamyśliła się.

Mieć kota. Takiego na poduszce, w obróżce z dzwoneczkami. ...Chyba miała kiedyś na oknie poduszkę dla kota, okno, pokój z balkonem, z firankami?... A może nie miała.

...Kot bez dzwoneczków, znajda, podjęty kocieciem z ruin, spod którejś powalonej kolumny przy resztkach fundamentów jakiejś świątyni?... Odchowala, odkarmiła. A może i to nie? Może tylko przychodził taki z ulicy i kładł się, mruczając w nogach łóżka?

...Jakiego łóżka? Gdzie? Coraz inna suterena, coraz inny kąt, gdzie indziej, a w międzyczasie i tego nie. Wnęka w murze, dziedziniec przed kościołem, brama w hali targowej, nabrzeże, arkada mostu.

Koty nie trzymają się ludzi, koty trzymają się mieszkań, budynków.

Co innego z psami.

No tak. Zyskać przywiązanie psa. Mieć go za swego towarzysza. Pies pójdzie za człowiekiem wszędzie. Wierny, czujny, oddany. Przyjaciół.

Ramiona kobiety pochyliły się tak mocno, grzbiet zgiął się tak bardzo, głowa tak nisko się opuściła na piersi, że całą ją można wziąć za kupkę starej odzieży zapomnianą w cieniu ściany.

Suka skomliła cicho, obracając się na brzuchu. Leżała teraz łbem na wyciągniętych przednich łapach. Patrzyła na nieruchomą kobietę, a ta spod brwi ściągniętych patrzyła na sukę. W spojrzeniach obu był wysilek.

Kobieta wspomniała na ciasto trzymane w ręku.

Suka musiała być głodna. Da jej to ciasto. Wystarczy wstać, podejść, podać, a potem, gdy będzie już jadła — pogłaskać.

Kobieta powściągnęła uśmiech. Czula pod dłońmi miękką skudloną sierść, żywe ciepło suchego kościstego łba, karku, grzbietu...

Pogłaskawszy, popieściwszy powie:

— No chodź, teraz chodź ze mną, psino. Pójdziemy sobie razem obie.

Tak. Wstanie, podejdzie, wyciągnie rękę z bułką.

...Ale to obcy pies. Włóczęga. Wygląda na chorą tą suka. Może jest zła? Kąsa? Mało to psów rzuca się na ludzi ni z tego, ni z owego.

Tego by brakowało, żeby została pokąsana przez cudzego psa na ulicy! Szpital, zastrzyki. ...Ale nie, nie, co za myśli! To jest zwyczajnie zabłąkane stworzenie. Niczyje. Tęskni do życzliwego słowa, do przyjaznego gestu. Wystarczy powiedzieć: — Na tu, na.

W wyschniętych ustach język poruszał się opornie. Odchrząknęła głośno.

Suka drgnęła zaniepokojona.

Kobieta odczekała chwilę.

Suka nie spuszczała z niej oczu. Rozumie, że to jest ludzka istota i że jest odmienna od mężczyzn z metalowymi łopatami. Nie dostrzega też u tej istoty drewnianych butów, które kopiąc, sprawiają nieznośny ból w kościach. Nie zwęszyła dzbana z ukropem, który znienacka oblewa grzbiet. Pojedyncze chrząknięcie nie miało nic wspólnego ze świdrującym uszy gwizdem, jaki poprzedza grad lecących na łeb kamieni.

Ta istota jest inna. Jaka?

Suka w napięciu czeka.

Już była trochę odpoczęła. Czuje pragnienie. Czuje głód. Ale potrzebowała jeszcze czegoś więcej, czegoś, co było jej zwykłym udziałem kiedyś, co czyniło, że była wtedy silna, syta, wesola. To zostało jej odjęte i tego chciała znów zaznać. Teraz. Natychmiast.

Może otrzymać to od tej tam istoty siedzącej naprzeciw i patrzącej na nią tak właśnie, jak już kiedyś patrzyły czyjeś ludzkie oczy.

Suka pamiętała.

Pamiętała więcej: że za takim spojrzeniem idą głos i dotyk. Głos — na dźwięk którego pies przypada w uniesieniu radości do kolan człowieka, dotyk — pod którym pies staje się istotą sprzymierzoną z bóstwem.

.

Gdy suka nieśmiało poruszyła ogonem, kobieta wyciągnęła w jej stronę rękę z kawałkiem świątecznego ciasta. Powiedziała:

— Masz!

Ale nie miała odwagi podejść. Ani ochoty. Mógł ktoś przygodny obserwować. Po co narażać się na ludzkie kpiny.

„Wystarczy, że jej rzucę”.

Jeszcze zanim bułka upadła, suka zerwała się na cztery łapy z wyszczerzonymi obronnie zębami.

Dygocąc z wysiłku i strachu zebrała się w sobie i uskokczyła przed lecącym pociskiem w bok!

A potem odwróciła się — nie szczekając, nie warcząc, jakby pożałowała na to resztek sił, zaczęła oddalać się na chwiejnych nogach, z głową zwieszoną między łapy, ze zwisającymi do ziemi pustymi sutkami.

Do kobiety, wciąż jeszcze zajmującej miejsce na schodku, podszedł dozorca tego domu i powiedział:

— Trzeba odejść stąd, bo będę mył bramę i schody. Wstała i odeszła.

Odchodziła w przeciwną stronę niż ta, w której znajdowała się stołówka dobroczynności, w jakiej zazwyczaj jadła o tej porze zupę. Stołownicy, z którymi tam siadała za stół, byli nie dożywieni, nie domyci, nie doodziani, bezbarwni, starzy, samotni. Jak ona. Byli nią.

Przyśpieszyła kroku. Prawie biegnie. Kuleje, potyka się.

Patrzcie no, wygląda na to, że ucieka.

VENERE

Dzieci urodziła jedenaścioro. Czwooro szczęśliwie dochowała do wieku dojrzałości: trzech synów i córkę.

Synów powołano kolejno na wojnę. Dwaj zostali zabici na froncie, trzeci zginął bez śladu. Córka w tym czasie wyszła za mąż za cudzoziemca i po skończonej wojnie wyemigrowała z tym człowiekiem. Do Australii. To bardzo daleko nawet wtedy, gdy współcześnie z nami żyją tacy ludzie, którzy jak nic przelatują sobie z kontynentu na kontynent aeroplanami o napędzie rakietowym... I drogo to — dla biednych, nawet statkiem i w ogólnej kabinie rzecz nie do opłacenia.

— Jak się dorobimy, pošlę ci bilet, mamó — obiecała córka — Czekaj. Tymczasem żyj, jak możesz.

Żyła. Nawet już nie czekała.

Dobłą miała córkę. Ale córki stają się żonami, a potem — matkami, one także.

Żyła więc tutaj oddana zwykłemu zajęciu. Zajęcie jej było proste: utrzymać samą siebie, nie korzystając z urzędowej dobroczynności dla sierot, wdów i starców. Do tego celu służył jej chybottliwy, trójnożny, z blachy piecyk przenośny, kamionkowa miska, tutki z gazetowego papieru, ziarna fasoli i bobu, zielone oliwki. Nadto garść suchych gałązek zbieranych gdzie się dało, trochę wody źródlanej z ulicznej studzienki i wrzucona w tę wodę na miskę szczypta soli.

Nie będąc wózkarką, a tym mniej straganiarką, unikała w swym ubóstwie płacenia postojowego, stosując wybiegi chytre, godne lisicy, nie zmieniała jednak raz obranego terenu. Jej klientela o kieszonkach pobrzękujących drobniakami znajdowała ją zawsze tam, gdzie spodziewała się znaleźć.

Stara kobieta zimą grzała pomarszczone chude palce nad rusztem z pstrykającymi po nim fasolami. Latem chłodziła szorstkie dłonie o boki misy z pływającymi w solonej wodzie oliwkami.

Przychodził jej na myśl zaginiony w świecie syn, to znów córka za oceanem. Myślała sobie: „Być może wszędzie na kuli ziemskiej znajdują się ludzie łąsi na bób, fasolę, oliwki. Ale czy wszędzie bób się rodzi? oliwki dojrzewają? można zbierać suche gałązki do piecyka? czerpać do miski wodę wprost ze źródła na ulicy?”

Jeszcze się zima tego roku była nie skończyła, gdy słońce przygrzało ostro, jak na przedwiośniu.

Przez parę dni z rzędu utargowała znacznie więcej niż przez ostatni tydzień karnawału. Ledwie mogła na-
starczyć towaru!

Ale to jej nie ucieszyło. Bo te dzieciuchy, ci studenci, zamiast wybiegać tylko na przerwy między nauką — biegali oto od samego rana z książkami pod pachą albo i wcale bez książek po całym publicznym ogrodzie, po placyku, po ulicach, ruch zatrzymując, krzycząc, że (mogła wyraźnie słyszeć — i słuchała) „nie damy”, że „odbierzemy”, a także, że gotowi „krew prze-
łać w obronie”.

Było sporo zamieszania i — ponieważ to dzieci —
niemało zabawy.

W te dni gazety drukowały, że inna młodzież podobny tumult czyni gdzie indziej o to samo, ale — przeciwnie. Że jednak wszystko idzie dobrze, bo mężowie stanu odpowiedzialni za pokój, za przyszłość narodów, za — słowem — ogólną politykę światową konferują i...

A potem gazety zajęły się czym innym i dzieci wróciły do swych uczelni tutaj, a pewnie i te inne gdzie indziej tak samo.

„Żyjemy w wielkich czasach — pisały teraz gazety. — Szympanś wyślany przez Amerykanów w głowicy pocisku wrócił z podróży zdrowy. Związek Radziecki przygotowuje lot na planetę Wenus. Już człowiekowi naszych czasów nie wystarcza ziemia.”

Kobieta z roztargnieniem zwija kawałki gazety w tutki, do tutek sypiąc fasolę mruczy:

— Ziemia. Oto jak ją kochają, tę ziemię. Ona od siebie dała już ziemi, co mogła: tej poświęcony krzyż mogilny, krwią nasiąkłej — trzech mężczyzn: małżonka i dwu synów.

„Już człowiekowi naszych nowych wspaniałych czasów nie wystarcza ziemia...”

Przybrudzone popiołem, od wody wilgotne, gruzłowate, słabe palce zwijają w tutki szeleszczące kawałki papieru zadrukowanego. Mrowisko słów.

Jakże dumna powinna się czuć bezzębna stara ziemiska istota z gatunku *homo sapiens*, w łatanej chuście, dmuchająca na węgle, pod blaszanym rzeszotem, na którym praży ziarna swojego bobu i fasoli.

„...nie wystarczy już ziemia.”

— Pewnie, że nie — mruczy do siebie kobiecina, sunąc usmolonym paznokciem po zginanym w rożek papierze. — Wszyscy hurtem wylecimy w niebo dymem przez piec, jak bywało w ostatniej... w ostatniej? Jaka, kiedy ostatnia była wojna! Teraz, gdy się tak szykują do tej o pokój, pole bitwy godne być musi tak wielkie-

go celu. Stary człowiek, do tego tylko kobieta, nieuczona, tyle, co czasem z tych gazet albo z radia usłyszę... wyobrazić mi sobie trudno, jak to się będzie żywa krew lała po powietrzu, nie! tam między gwiazdami nie ma, mówią, ziemskiego naszego powietrza! Więc po tej czarnej, bez światła, bo i światła nie ma, mówią pustce. Krew, to ona będzie ta sama, ludzka, dopóki będą ludzie. Dopóki ludzi rodzić będą matki.

Matki?

Przypomniało jej się, jak to niedawno zużyła na tutki gazetę, która na pierwszej stronie donosiła czytelnikom o zarodku ludzkim przez uczonych bolońskich wyhodowanym w ich laboratorium sztucznie, poza ludzkim organizmem.

Ponieważ nie starczało jej wiadomości, ażeby tę rzecz rozpatrywać mogła od strony rewelacji naukowych, a nie będąc bigotką, nie patrzyła na to jako na dzieło złego ducha wymierzone przeciw Stwórcy — pomyślała zwyczajnie: „Kogo mogłoby kochać takie niczyje dziecko? bardziej niczyje od podrzutka, mające prawo za zdrościć szczenięciu”.

Opanowało ją przygnębienie. Już od jakiegoś czasu zauważyła u siebie skłonność do tego uczucia. „Starzeję się widocznie, choć nie mam jeszcze pełnych siedmiu krzyżyków. Brak pogody na starość gorszy od braków pogody we żniwa. Trzeba by mi o czymś weselszym, rozerwać się” — ale nawróciła myślami do tego, co poprzednio ją zajmowało.

„To tak, jakbyśmy, my, ludzie, mogli rodzić się i żyć poza ziemią, naszą rodzicielką i karmicielką”.

Obsłużyła bez zwykłych przygadywań i uśmiechów kilkoro małych nabywców łakoci. Właściwie mogłaby się już zbierać do odejścia. Czuje się nieszczególnie. Dzień był nad miarę ciepły, wilgotny zdradliwą, ciężką wilgocią. Może się przeziębila? Mur, pod którym sie-

działa, szczyrzył z cienia mokre cegły. Głowa cięży. Nogom niesporo się unieść. Mrówki przebiegając po nich zaczynają mrowić się wyżej, w lewym boku. Tak. Należy wstać, spakować się, iść do domu.

Do domu? A niech tam szczury siedzą w tym ciemnym brudnym kącie za chwiejną z desek przegrodą pod schodami! Niech szczury!... A że to ona suple co tydzień opłatę za ten kąt kamienicznikowi... Więc co z tego? Dom. Czy nie jest bardziej u siebie w domu — tutaj?

Suchy swąd drzewnych węgli, wypełniających wnętrze dziurawego piecyka, przywiał zapach niezapomniany — rodzinnej chaty z żarem w żelaźniaku, świecącym i grzejącym pośrodku glinianej bezokiennej izby.

Nad miastem szybko, bez zmierzchu, noc po dniu zapadła.

Dom w nocy. Noc — dobra pora, ludzie i żywina oddają się spoczynkowi. Dom — to także spoczynek. Ogńisko, rodzina w jego promieniu, trzoda wpodłe, ziemia dokoła. Na węglkach w żelaźniaku osiada po wierzchu delikatny popiół... w ciałach ludzi, w głębi, mości się spokój... zwierzęta przeżuwają paszę, nim zasną... ziemia oddycha wietrzykiem.

Ziemia. Jedna, która nigdy nie śpi. Nigdy nie odpoczywa.

Szkoleni na książkach mówią, że jest w ciągłym ruchu. Muszą wiedzieć. Jakkolwiek by się przecież ruszała ziemia, dokądkolwiek by leciała — nie opuszcza nas, ludzi. Niesie każdego ze sobą w jej drogę.

Stara kobieta czuje dzieciinną chęć oparcia się. Po co tkwić na składanym stołku, jeżeli można wygodnie usiąść na kępie suchych liści i odpadków zgrabionych w czasie dnia przez zmiataczy miejskich.

Teraz jest jeszcze bliższa ziemi, bo prochu bliskimi: krwią, ciałem, kośćmi, przytulona do niej.

Kobieta myśli: „Znałam moich rodziców, dziadów i dzieci moje znałam. Pradziady, prawnuki — co wiem o jednych? O drugich czy wiedzieć będę? Nie, nie. A ziemia, ona wzięła w siebie tamtych i tych w siebie weźmie. Jak i mnie o czasie. Bo co żyje — umiera, a ona pożywia się i życiem, i śmiercią. My ją żywimy — ona nas”.

Myślała o synu zaginionym bez wieści, o córce za oceanem: „Znajdziemy się”.

O reszcie dzieci, o mężu, już pogrzebanych. I o sobie. Czuła wdzięczność, że przecież samotna nie była, nie jest i nigdy nie będzie.

Tymczasem wysoko nad nią zaczęły przelatywać z mniejszym lub większym hałasem mniejsze i większe samoloty. Szedł tędy przez niebo ich „korytarz”, wiedziała, że lądują za miastem na specjalnym lotnisku albo że startują stamtąd do lotu. Ich pora wedle rozkładu powietrznych podróży. Był to widok piękny: jak gdyby co i raz zawieszał specjalnie nad jej legowiskiem zapaloną choinkę.

...Ci podróżni tam, w środku tych maszyn, pozbawieni są tego pięknego widoku. A owe zapalające się i niknące światła były może nawet piękniejsze od gwiazd. No, nie od wszystkich. Na pewno nie od tej, która ot, jaśniej w bliskości księżyca, bynajmniej jego blaskiem nie przyćmiona. Gwiazda Wieczorna. Ją nazywają też: Venere.

Wenus! To tam wysłany z ziemi leci — nie, nie aeroplan przenoszący ludzi i towary z ziemskiego miasta do miasta, z ziemskiego kraju do kraju! nie! ten statek-machinę człowiek uczony oderwał od ziemi całkiem ją ziemi odbierając, że już go przyciągnąć nie będzie mogła sama bez woli człowieka. „Pierwszy raz w historii świata rzecz taka się stała”.

„Pierwszy raz odebrana ziemi rzecz — myśli kobieta.

— Potem, potem będą próbowali odebrać ziemi nas, ludzi”.

Z przerażeniem wyobraziła sobie, że została wyrzucona w pocisku, który krąży w czarnej otchłani między obcymi gwiazdami z daleka od ziemi, z daleka od ziemi!

Nic straszniejszego nie mogła sobie wyobrazić.

Żadna śmierć nie mogła być tak śmiertelna; żadna — tak ostateczna.

...Czyja śmierć? jej czy ziemi?

Kochała tę ziemię każdą najdrobniejszą kosteczką, każdą najmniejszą żyłką.

Dziecinnie rozpostarła ręce i rękami, twarzą, całą sobą przypadła do liści i odpadków za dnia zgrabionych na kupę przez ogrodowych robotników, przez zamiataczy, liści — od nocnej rosy już wilgotniejących.

Dużo minęło czasu, bo dopiero rankiem niejaki Alfredo Toppolino, pilnujący parkingu samochodowego w pobliżu placyku bez nazwy, poczuł swąd tłących się wełnianych szmat, co zresztą nie byłoby go skłoniło do podejścia w tamtą stronę. Zrobiły to — jeszcze wiele później dzieci, przywykłe kupować u „babki z piecykiem” prażoną fasolę.

SAMOTNOŚĆ

Wieczne rosy strąciły kurz z powietrza tak dokładnie, że stało się czyste, jakim było przede dniem.

Teraz oddychać jest rozkoszą dla płuc wysuszonych pustką upału.

Owocny jest wieczór. On wyraża dobitnie, co zaszło w dziennej porze. Przywraca wartość także temu, co zamierzone, a nie spełnione: już stało się wspomnieniem i nabyło ceny. Jako cenne trwać będzie i odtąd już cieszyć.

Wieczorem płacz nie bywa długi — uciszy go noc. Wieczorny smutek nie jest bez nadziei — oglądają go gwiazdy z tak wysoka, że pod ich wzrokiem uskrzydla się on.

Jakkolwiek spędzasz dzień — wieczór nadejdzie. On jest tym, do czego obudziłaś się z rana, choć nie pamiętasz, chociaż może nie wiesz.

Dnie rozmaite są, a spokój wieczora płaci wiele... prócz jednego: samotności. Jeśli — zawiniona. ...Lecz któż by chciał dobrowolnie zawinić samotności!

Jest taki właśnie wieczór. Rzeźwy po dniu nużącym.

Jest plac, do którego zbiegają ulice. Wokoło placu stoją domy. Dom przy domu. Ludzie wracają, ludzie wychodzą. Trwa bezustanny ruch na placu. W domach trwa ruch.

A potem powoli ruch ustaje. Z rzadka ulicą wóz

przeleci. Jeszcze rzadziej przesunie się przez plac przechodzień. Drzwi domów zamykają się coraz częściej. Okna...

Otworło się okno. Nagle się otworło. Z takim rozmachem, jakby ten, kto pchnął okiennice i poderwał zasłone, całą ścianę znieść chciał tym oburącz rozgarniającym przed sobą ruchem. Kobieta.

Przez połowę doby była w pracy. Jej praca liczy się mało, choć jest niezbędna. To niewykwalifikowana pracownica. Sprzątanie, pranie, różne posługi domowe. Wszystko, na co inni, ceniący swój zawód lub smakujący w nieposiadaniu owego — nie mają czy też nie chcą tracić czasu.

Na skórze rąk tej kobiety, na jej barkach i grzbiecie, w siatce żył oplatających nogi — wypisana jest jedna strona życiorysu. Drugą — odczytują ludzie z jej oczu, które są czyste w kolorze mimo starości, nie zmęczone żadnym wyrazem innym poza otwartością. Dlatego zwykła patrzeć nimi prosto w twarze ludziom. Żadna ze stron na tym nie traci, gdy zawierana jest umowa o pracę i płacę.

Pół doby kobieta jest zajęta poza domem. Wieczorem wraca do siebie.

Wróciła. Stoi w oknie otwartym. Nie wychyla się z niego przez parapet ani się o framugę jego nie opiera. W słuch zamieniona i we wzrok jest w tym oknie ciasnym jakby pośrodku placu stojąca, a plac ten jakby przestrzenią był i nie zamkniętą, pomimo ulic ponazywanych, które do niego zbiegły, i domów ponumerowanych, które przy nim się ustawiły... przestrzenią bez innych granic, jak tylko wzrokiem i słuchem wytyczone... wzrokiem — nie ócz, słuchem — nie uszu: serca.

Jest wieczór. Wieczór jest jeszcze czy — już może noc. Zapóźnionego przechodnia słysząc kroki śpieszne.

Kobieta z okna słyszy je. Widzi też, jak przez plac

biegnie ów przechodzień. Przed naprzeciwym domem się zatrzymał. Tam do drzwi całym sobą przypadłszy, usiłuje gwałtem dostać się do wnętrza.

— Człowieku — mówi kobieta na tyle tylko głośno, iżby on jeden usłyszał, i na tyle przekonywająco, aby, usłyszawszy, poniechał dobijania się do zamkniętych drzwi. Ale on słuchał plaskania własnych dłoni po nie ustępującym drewnie. Wreszcie zacisnął pięści i uderza nimi, i łomocze, podnosząc głos od szeptu do krzyku:

— *Aprite! aprite!*

— Człowieku, człowieku — powtarza kobieta tak długo, tak żarliwie, aż przeniknęło, spokojne, przez krzyż i dotarło do niego to słowo.

Ucichł. Ale na chwilę tylko. Bo, obejrzawszy się, zobaczył kobietę i — że nikogo przy niej, że więcej nikt! Odwrócił się gwałtownie i znów zaczyna szturm.

Teraz jednak nadszedł opieszale stróż nocny z kluczami. Gdy z wolna, z namysłem, wybierał z ich pęku ten jeden, właściwy — człowiek raptem przypomniał sobie, że posiada własny klucz. Dobywa go. Odsunął powolnego klucznika. I drzwi sobie otworzył. Sam.

— Człowieku, człowieku — kobieta nie może powstrzymać się od zawołania za nim, za znikającym w drzwiach, za nim, za którym zatrząskują się drzwi.

Uciekł, między cztery ściany się schował, ażeby nie czuć się zagubionym w świecie, a właśnie w czterech ścianach czekała na niego samotność. Tu go dostała ona — za drzwiami.

Człowieku, człowieku!

Z kolei kobieta stoi u drzwi. Uderza dłonią i woła:

— *Aprite!*

Jest pora, kiedy już nie ma nocy i jeszcze nie ma

dnia. Byłaby to pusta pora, gdyby nie dniało. Lecz oto dnieje.

I jest tak, że tamte wszystkie domy, place pośrodku, ulice na placu zbiegłe, miasto — że to wszystko wyszło i stanęło obok kobiety na progu pod zamkniętymi drzwiami i woła z kobietą:

— *Aprite!*

Nie dłużej niż co dnia będzie się tu tak dobijała ta sprzątaczką, przychodząca na najwcześniejszą ze swych gospód. Samotny lokator zasypiał zazwyczaj dopiero nad ranem i sen miewał twardy.

Kobieta, czując na plecach ciepły dotyk rannych promieni słońca, stuka ze zwyczajną u niej cierpliwością. Zna wagę czasu. Ale zna i więcej: coś, co niezależne, co ani urodziło się z nami, ani z nami nie umrze; wspólnotę ludzkiej doli-niedoli. Nawet żeby ten tu, w ciasnej alkwie w głębi pustego domu, stary umierał w samotności — samotny nie jest. Nigdy nim nie był. Zawsze, o każdej godzinie nocy, z każdego miejsca małej, choć tak wielkiej ziemi, wołają do niego — do nas, nasi bliźni swoim, jak jego — jak nasze, cierpieniem... swoją jak jego — jak nasza, radością... podczas ich, podobnego naszemu, zwycięstwa! w czasie, podobnej naszym, ich klęski.

Człowieku! Człowieku! Otwierasz radio, przekreślasz gałkę telewizora. To widzisz, tego słuchasz, temu — że istnieje rzeczywistość wraz z tobą, bo ci podano w zaabonowanym programie — wierzysz.

Dlaczego nie używasz bardziej człowieczego instrumentu, który nosisz w sobie? tej niepożytej siły, jaka cię niewidzialna, cuda działająca, łączy z innymi i ze światem — wspólna.

Do serca własnego dlaczego nie sięgasz wcale lub — tak rzadko?

Rzym 1961

NOTA BIBLIOGRAFICZNA

Dramat *Ecce homo* powstał bez myśli o wystawieniu, o realizacji teatralnej.

Fragmenty *Ecce homo* były drukowane w różnych czasopismach m. in. *Ogród dzieci niewidomych*; *Prolog misterium Ecce homo* („Świat Kobiety” 1931, nr 5); *Oto człowiek* (fragment, „Kobieta Współczesna” 1933); *Kłós* (fragment z *Ecce homo*, „Kurier Zachodni” 1937, nr 26).

Książkowa edycja *Ecce homo* ukazała się w Warszawie w 1932 r. nakładem Naszej Księgarni, zaś przedruku utworu dokonała autorka w *Wyborze utworów* z 1958 r.

Następnym dramatem Ewy Szelburg-Zarembiny były *Sygnaly*, wydane w 1933 r. w Warszawie nakładem Gebethnera i Wolffa.

Matka i Syn — ten tom poetycki miał dotychczas dwa wydania: pierwsze w 1961 i drugie w 1965.

Samotność ukazała się po raz pierwszy w 1961 r., zaś wznowienia miały miejsce w 1963 i 1970 r. oraz przedruk w *Opowiadaniach wybranych* z 1967 r., z wyjątkiem opowiadania *Spotkanie*.

Wielkiemu Panu, który jest naszym królem i panem.

Wielkiemu Panu, który jest naszym królem i panem.

Wielkiemu Panu, który jest naszym królem i panem.

Wielkiemu Panu, który jest naszym królem i panem.

Wielkiemu Panu, który jest naszym królem i panem.

Wielkiemu Panu, który jest naszym królem i panem.

Wielkiemu Panu, który jest naszym królem i panem.

Wielkiemu Panu, który jest naszym królem i panem.

Wielkiemu Panu, który jest naszym królem i panem.

SPIS RZECZY

Ecce homo	5
Sygnaly	85
Matka i Syn	211
Samotność	
Orata	263
Spotkanie	268
Przechadzka	277
Przeprowadzka	289
Dzwoneczki	297
Świeca	307
Krzesło	314
Kwiat	323
Non passa	334
Ucieczka	342
Venere	350
Samotność	357
Nota bibliograficzna	361

Układ, nota
TADEUSZ KŁAK

Opracowanie graficzne
i redakcja techniczna
ZBIGNIEW MAREK

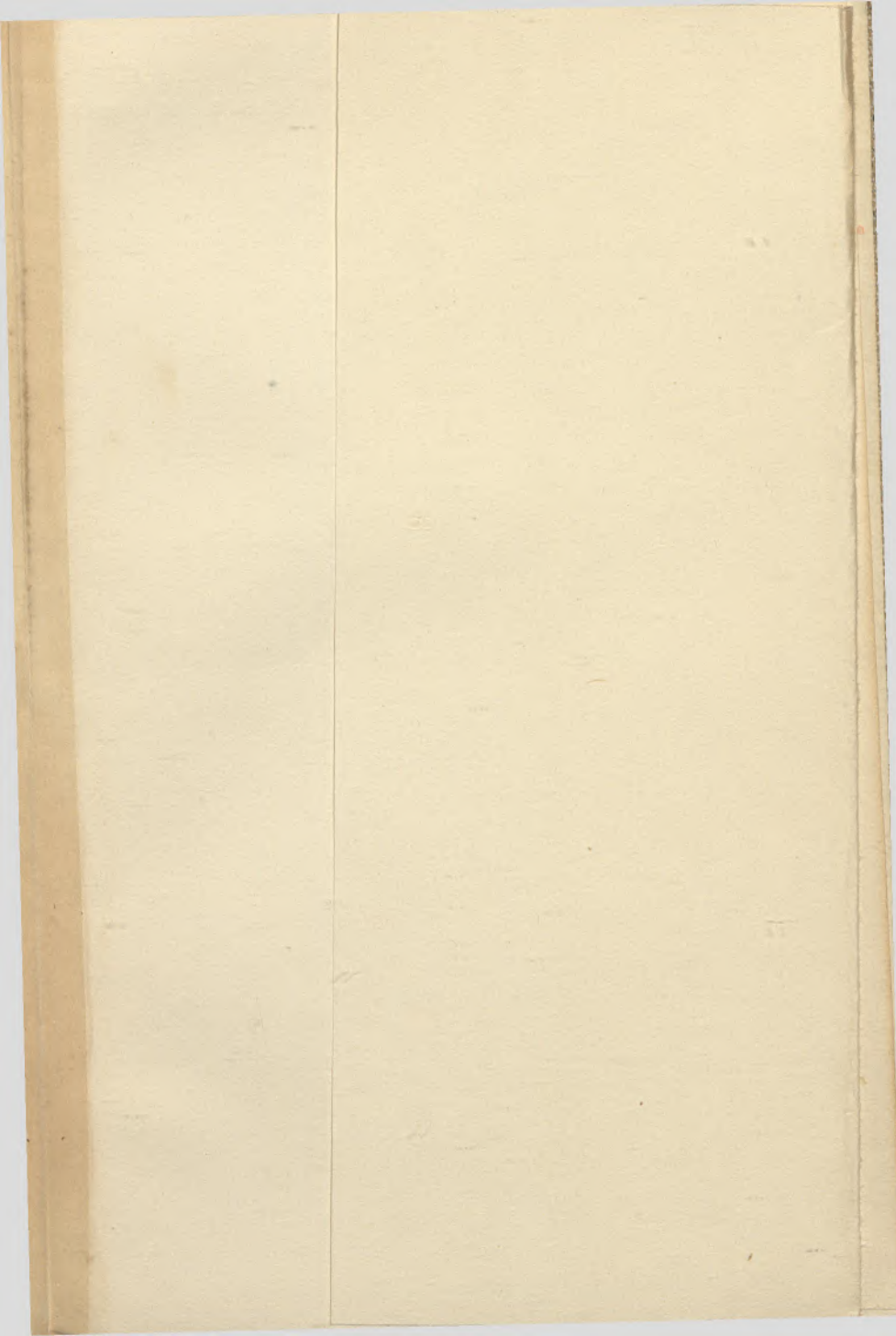
Koordynacja
BARBARA SŁOWIKOWSKA

Redaktor tomu
TADEUSZ KŁAK

WYDAWNICTWO LUBELSKIE • LUBLIN 1972

Wydanie I. Nakład 7.000+261 egz. Ark. wyd. 15.
Ark. druk. 22,75. Papier druk. mat. kl. III, 70 g,
82×104 cm z Fabryki Papieru w Kostrzynie.
Oddano do składania 22 IV 1971 r. Druk ukoń-
czono w styczniu 1972 r. Cena tomów I/VI
zł 350.—. Cena t. IV zł 50.—

Rzeszowskie Zakłady Graficzne, Rzeszów,
ul. Marchlewskiego 19. Zam. nr 430/71 S-3-5



Cena t. I/VI zł 350.--



1111 72
—

